

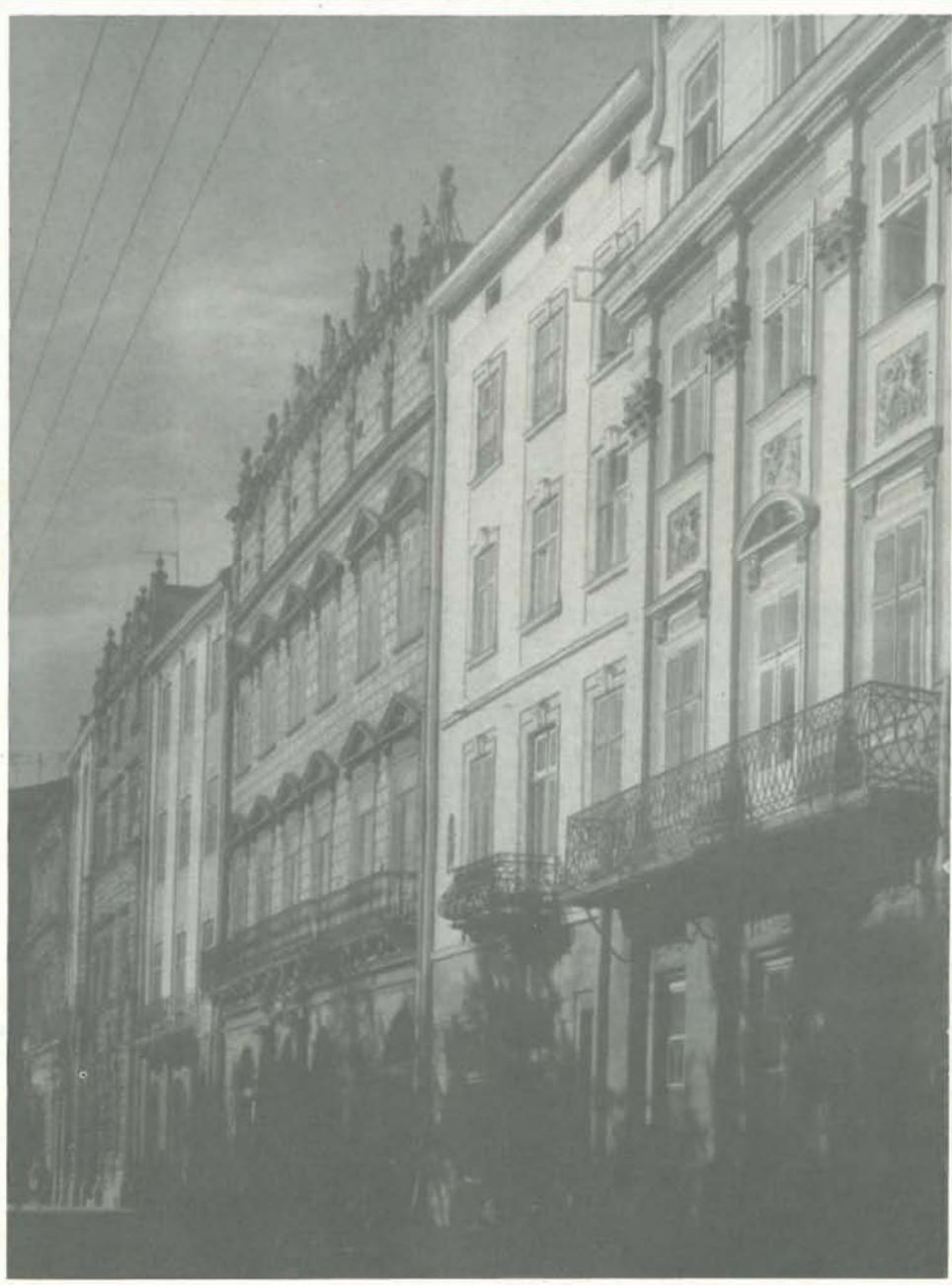


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

2-3 (8-9) 1991

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW WSCHODNICH ● WROCŁAW



SEMPER FIDELIS

TADEUSZ RIEDL O martyrologii i eksterminacji lwowskich pracowników nauki (1939—1945)	2
ANDRZEJ CHLIPALSKI Trzy wcielenia zapomnianego lwowskiego kościoła	8
GRZEGORZ PEŁCZYŃSKI Ormianie w międzywojennym Lwowie	12
ZDZISŁAW OJRZYŃSKI Pro memoria Wielkiego Generała	15
ANTONI KUCZYŃSKI Bronisław Piłsudski — wieczny tułacz	16
LESŁAW FLIS Ksiądz Zygmunt Gorazdowski i jego dzieło	19
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA Lekarz „polskiego Londynu”	21
DANUTA NESPIAK Zastanówmy się razem	24
JAKÓB JAWORSKI Kilka pytań do p. posła Mokrego	27
JANINA STOPYRA Bez dzieciństwa	28
KS. LESŁAW JEŻOWSKI W Tłumaczu — po 50 latach	31
KS. STANISŁAW TURKOWSKI O piątym przykazaniu boskim	35
Z żałobnej karty	40
Z życia oddziałów i klubów TML	41

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja — przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Jan Iwaszko — redaktor techniczny, Wiesława Jeleńska-Hombek — redaktor odpowiedzialny, Leszek Mrozek — opracowanie graficzne, Danuta Nespiak — redaktor naczelny, Zdzisław Ojrzyński, Irena Zaucha — kierownik sekretariatu

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na pierwszej stronie okładki — Fragment Rynku we Lwowie (fot. Z. J. Zieliński). Na czwartej stronie okładki — Kościół Św. Elżbiety w 1914 roku (fot. Archiwum)

Drodzy Czytelnicy!

Z trudem, przy wysiłku ludzi dobrej woli, wydawaliśmy „Semper Fidelis”, czasopismo, które miało prezentować środowisko nas, przesiedleńców z Małopolski Wschodniej, nasze marzenia i tęsknoty, nasze zerwane więzi z tymi rodakami, którzy tam zdecydowali się pozostać. Wśród nas żyją jeszcze ludzie wyrwani brutalnie ze swoich stron, domów, miejsc pracy stworzonych nieraz wysiłkiem kilku pokoleń. I mimo że jednakowo bliski był sercu Stryj, Stanisławów, Drohobycz czy Tarnopol, tak się stało, że najliczniejsze były publikacje dotyczące Lwowa. Bardzo prosimy naszych Czytelników o wybaczenie — reakcja lwowian, obfita od nich korespondencja (pisali nawet lwowianie z Hawajów) spowodowała, że tematyka „Semper Fidelis” była głównie poświęcona sprawom i dziejom tego miasta.

Ale zamiary były i są inne. Narastające trudności wydawnicze spowodowały, że nie mogliśmy wydawać miesięcznika, i w efekcie nie wyczerpawszy tematu „Lwów”, nie zdołaliśmy wydać numerów poświęconych innym miastom i miasteczkom czy wiejskim polskim parafiom Małopolski Wschodniej.

Temat „Lwów” stanowił pewien symbol, mieścił w sobie całą, jakby skoncentrowaną tragedię ziemi — wiernej, pięknej, niezapomnianej naszej małej Ojczyzny Ojczyzn, która została nam odebrana na mocy haniebnych układów jałtańskich. Staraliśmy się zamieszczać wspomnienia świadków wielu wydarzeń na kresach południowo-wschodnich, bo stanowi to dokumentację historii Polski. Chodzi tu przecież o wypełnienie właściwą treścią „białych plam” w tym celu, by dobre stosunki z naszymi sąsiadami na wschodzie oparte były na prawdzie.

Z myślą o temacie „Małopolska Wschodnia” zaczęliśmy kompletować materiały, nie tylko te odnoszące się do Stanisławowa czy Tarnopola, ale również do tych „pereł” kresowych, jak Jazłowiec, gdzie już w XII w. osiedlili się Ormianie.

Tymczasem koszty wydawania czasopisma rosły, niemożliwą rzeczą było zwiększenie liczby stron, zaczęły narastać trudności z kolportażem, i to dosyć nieoczekiwane. Z Krakowa np. otrzy-

mywaliśmy sygnały, że w tamtejszych kioskach „Ruchu” nie ma zupełnie „Semper Fidelis”, a równocześnie przychodziły stamtąd zwroty, kulała również sprzedaż czasopisma poprzez Oddziały TML.

Być może linia ideowa naszego pisma — „ocalić od zapomnienia dziedzictwo historii i kultury polskiej oraz grup etnicznych Małopolski Wschodniej” — była powodem, że dotychczasowy wydawca — przedsiębiorstwo „Presstrust” we Wrocławiu, mające swoje władze naczelne w Warszawie, zdecydowało wycofać się ze współpracy. Ta sytuacja spowodowała, że „Semper Fidelis” może być nadal wydawane tylko pod jednym warunkiem, jeżeli Czytelnicy i Sympatycy pisma wezmą jego los w swoje ręce. Chodzi o to, żebyście drodzy Czytelnicy, gdziekolwiek żyjecie, w Chicago, Londynie, Warszawie czy Jarosławiu kupowali nasze pismo oraz namawiali do jego kupna swoich krewnych i znajomych, co umożliwiłoby nam zwiększenie nakładu. Równocześnie apelujemy o wsparcie finansowe. Nawet najskromniejsze datki finansowe będą miały dla nas żywotne znaczenie. Nasi ofiarodawcy zostaną uhonorowani w „Semper Fidelis”, a firmom sponsorującym naszą działalność gwarantujemy bezpłatną reklamę na naszych łamach. Ewentualne datki prosimy wpłacać na konto Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132 Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”. W utworzeniu tej fundacji widzimy jedyny ratunek. Chcemy utrzymać nasze pismo, które dociera nawet do Irkucka.

Chcemy pismu nadać skromniejszą szatę graficzną, bo nie o kolory tu chodzi, chcemy więcej miejsca poświęcać aktualnościom. Chcemy koniecznie rozszerzyć tematykę o całą Małopolskę Wschodnią. Apelujemy o materiały dotyczące dziejów nawet najmniejszych miasteczek, wsi, parafii rzymskokatolickich, ormiańskich, a także historii małopolskich Żydów.

Jesteśmy społecznością kresową i zawsze „zdawaliśmy egzamin” w trudnych chwilach.

Redakcja

TADEUSZ RIEDL

O martyrologii i eksterminacji lwowskich pracowników nauki (1939-1945)

Z prochów naszych powstaną mściciele
(z pomnika Szymona Wizunasa Szydłowskiego)

Z czterech okresów wojennych historii Lwowa trzy z nich, odpowiadające kolejnym okupacjom miasta: radzieckiej (22 IX 1939 — 29 VI 1941), hitlerowskiej (30 VI 1941 — 21 VII 1944) oraz drugiej radzieckiej (od 22 VII 1944), trwale związane zostały z cierpieniami i męczeństwem polskiej ludności miasta, wśród której najdotkliwsze straty poniosła inteligencja.

Po radzieckiej agresji, zajęciu Lwowa 22 IX 1939 r. i jego inkorporacji do ZSRR jednym z podstawowych zadań przestępczej władzy stalinowskiej we Lwowie stało się niszczenie polskiej inteligencji, mimo że władza ta, uzbrojona w ideologię marksistowsko-leninowską, za przodującą i najpotężniejszą siłę społeczną i polityczną uznawała nie inteligencję, a klasę robotniczą. W rzeczywistości zdawała sobie jednak sprawę ze znaczenia inteligencji jako warstwy decydującej o zachowaniu polskiej kultury i państwowości, potencjalnie szczególnie niebezpiecznej dla najeźdźcy, toteż bez wahania na wielu jej przedstawicieli został wydany wyrok.

Głównym celem zbrodniczej administracji hitlerowskiej również było unicestwienie polskiej inteligencji, tak więc zrozumiałe się stają niewyobrażalne wręcz straty wśród elity intelektualnej Lwowa, poddanej restrykcyjnym oddziaływaniom obu okupantów.

Niniejszy artykuł przedstawia wstępny wykaz strat wśród pracowników naukowych Lwowa. W wielu przypadkach uwzględnione zostały zasługujące na przypomnienie dane biograficzne. Przy okazji w kilku przypadkach zamieszczone są niezbędne sprostowania i uzupełnienia odnoszące się do poprzednio publikowanych danych.

Okres I (1-22 IX 1939)

Okres ten to ataki lotnicze Luftwaffe, od 13 września obrona Lwowa pod dowództwem gen. Władysława Langnera przed nacierającą hitlerowską armią lądową, kapitulacja i poddanie miasta wschodniemu najeźdźcy.

W kampanii wrześniowej zginęli doc. dr **Stanisław Klimek** (13 IX), oficer rez., antropolog, pracownik Zakładu Antropologiczno-Etnograficznego UJK, oraz dr **Kazimierz Lewicki** (17 IX), st. asys-

tent Zakładu Historii Polski UJK, adiunkt Państwowego Archiwum we Lwowie. Data jego śmierci może wskazywać, iż zginął w walce z dokonującą agresji Armią Czerwoną, chociaż M. Walczak wymienia najeźdźcę hitlerowskiego.

Przez oficera sowieckiego został zastrzelony inż. **Stanisław Kozłowski**, dyrektor Miejskich Zakładów Elektrycznych, wykładowca projektowania zakładów elektrycznych na Politechnice Lwowskiej, a por. rez. doc. dr **Stefan Kaczmarz**, matematyk, adiunkt PL, biorący udział w kampanii wrześniowej, zaginął bez wieści. M. Walczak wymienia również mineraloga **Jana Ryłskiego**, asystenta UJK, zmarłego w czasie ewakuacji w 1939 r., nie podaje jednak żadnych wskazówek dotyczących tej ewakuacji.

Okres II (22 IX 1939-29 VI 1941)

W pierwszej połowie 1940 r. ludność polską dosięgły masowe aresztowania i deportacje w głąb ZSRR. Los tysięcy deportowanych podzielili wywiezieni do Kazachstanu dwaj emerytowani profesorowie Wydziału Prawa UJK: **Edward Dubanowicz**, profesor ogólnego i nowożytnego polskiego prawa politycznego, odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa i odznaką „Orląt”, b. poseł na Sejm RP, oraz **Stanisław Głąbiński**, profesor ekonomii politycznej, członek Amerykańskiej Akademii Nauk w Filadelfii, b. senator Rzeczypospolitej i poseł, b. minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, rektor UJK w r. 1909/10. Zmarł około 1943 r.

W tym samym okresie aresztowani zostali profesorowie medycyny **Roman Rencki** i **Adam Słowik**, o których będzie niżej mowa, a także doc. dr **Józef Lenczowski**, adiunkt Kliniki Położniczo-Ginekologicznej UJK i dr **Eugeniusz Doliński**, wykładowca na Wydziale Lekarskim higienę społeczną i ustawodawstwo sanitarne.

Doc. dr **Władysław Hepter** z Zakładu Logiki UJK został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, czego rzekomym dowodem miał być znaleziony przy nim maszynopis pracy naukowej z dziedziny logiki; zginął prawdopodobnie w r. 1940.

Zbrodnia katyńska. Mimo że brak jeszcze ostatecznych danych odnośnie zawodowego statusu wielu więźniów, co uniemożliwia sporządzenie pełnej listy strat polskiej nauki, należy tu wymienić ppor. rez. dra **Zdzisława Tadeusza Kopniaka** z Zakładu Chemii Fizycznej UJK i ppor. artylerii

dra Stanisława Michalskiego, adiunkta Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Obaj ponieśli śmierć w Katyniu. Więźniem Starobielska był asystent Uniwersytetu Stanisław Tkaczyk.

Prawie natychmiast po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej została popełniona przez NKWD straszliwa zbrodnia polegająca na masowym mordowaniu ludności polskiej przywożonej na teren lwowskich więzień „Łąckiego” i „Brygidek”. W odróżnieniu od zbrodni katyńskiej rozumianej w szerokim ujęciu (Kozielsk-Katyń, Starobielsk-Charków, Ostaszów-Miednoje), wyjaśnienie zbrodni „Łąckiego” wymaga od historyków, prawników i kryminologów olbrzymiej pracy od podstaw, albowiem brak jest nawet częściowej listy ofiar, chociaż w rozumieniu prawa międzynarodowego była to dokonana na narodzie polskim klasyczna zbrodnia ludobójstwa.

W więzieniu „Łąckiego” (gmach otoczony ulicami Łąckiego, Leona Sapiehy i Kopernika, przedwojenna siedziba Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej i Komisariatu VI PP) ofiary mordowano strzałem w tył głowy. Ciała pomordowanych zalegały piwnice, cele i inne pomieszczenia, tworząc kilka warstw; ciałami ofiar zasłane było całe obszerne podwórze rozciągające się między ulicami Łąckiego i Kopernika. Tu znalazł śmierć aresztowany przez NKWD 27 VI 1941 r. dr **Kazimierz Szumowski**, b. st. asystent Kliniki Chorób Nosa, Gardła i Uszu UJK, ordynator Oddziału Laryngologicznego w Państwowym Szpitalu Powszechnym we Lwowie, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r., autor pracy o obronie radiostacji w Kozielnikach. Po odnalezieniu i rozpoznaniu zwłok przez rodzinę, pochowany został 4 lipca w dziesiętej alei cmentarza Łyczakowskiego (zamordowanego odnalazł na podwórzu więziennym dr Tadeusz Riedl sen.).

Tu należy z całą stanowczością odrzucić błędną informację zawartą w pracy M. Walczaka, jakoby Kazimierz Szumowski został zamordowany przez hitlerowców. Już sama data śmierci cytowana przez tego autora (27 VI) wskazuje na prawdziwych sprawców zbrodni, jako że Niemcy wkroczyli do Lwowa dopiero 30 czerwca.

Okres III (30 VI 1941-21 VII 1944)

Nie upłynął nawet jeden tydzień od masakry w lwowskich więzieniach, gdy męczeńskim miastem wstrząsnęła nowa tragedia. Zmienił się jedynie sprawca — z czerwonego na brunatnego. 4 lipca 1941 r. grupa profesorów i docentów wyższych uczelni Lwowa została bestialsko zamordowana przez zmilitaryzowane oddziały gestapo i SS. Przynależność organizacyjna, status służbowy, skład i udział tych oddziałów w zbrodni zostały omówione przez Z. Alberta, S. Sterkowicza, W. Żeleńskiego i W. Bonusiaka. Według ustaleń cytowanych przez wymienionych autorów za zbrodnię odpowiedzialni byli SS-Brigadeführer (generał brygady SS) dr Eberhardt Schöngarth, który przybył do Lwowa 2 lipca na czele Sonderkommando SS, SS-Hauptsturmführer (kapitan SS) Hans Krüger, dowodzący jednostką Geheime Feldpolizei, przy czym współodpowiedzialność określonych ugrupowań na-

cjonalistów ukraińskich należących do OUN, przygotowujących listy uczonych przeznaczonych na rozstrzelanie, nie ulega dziś żadnej wątpliwości. Jest też wysoce prawdopodobna odpowiedzialność Theodora Oberländera jako komendanta ukraińskiego batalionu „Nachtigall”, biorącego udział w aresztowaniach.

Omawianej zbrodni poświęcono wiele publikacji, wśród których na pierwsze miejsce wysuwają się prace o charakterze monografii prof. Z. Alberta i W. Bonusiaka. Z. Albert przedstawia dokładnie genezę i przebieg zdarzeń, zamieszcza również wykaz 25 zamordowanych profesorów i docentów. Dwudziestu dwóch z nich, aresztowanych 3 lipca, zginęło 4 lipca na Wzgórzach Wuleckich, gdzie równocześnie zamordowano 20 osób należących do ich najbliższych rodzin i przyjaciół.

W chwili aresztowania w dniu 3 lipca kierownika Kliniki Chirurgicznej UJK prof. Tadeusza Ostrowskiego i jego żony Jadwigi w ich mieszkaniu przy ul. Romanowicza 5 przebywał ks. dr Władysław Komornicki. Wraz z nimi został aresztowany i rozstrzelany. W chwili egzekucji został rozpoznany przez świadków dzięki sutannie, dobrze widocznej z daleka, tzn. z okien budynków przy ul. Nabelaka.

Ks. dr Władysław Komornicki, docent Uniwersytetu, ur. 10 XI 1911 r. w Babinie koło Kałusza, otrzymał święcenia kapłańskie w 1935 r. Wykładał nauki biblijne w lwowskim Wyższym Seminarium Duchownym. Jednakże jego nazwisko nie figuruje na żadnej z trzech tablic pamiątkowych we Wrocławiu, tj. w gmachu głównym Uniwersytetu Wrocławskiego, w gmachu Polskiej Akademii Nauk oraz na pomniku pomordowanych uczonych na placu Grunwaldzkim. Zwrócił na to uwagę niezujący już ks. biskup prof. dr hab. Wincenty Urban w kazaniu wygłoszonym 15 XI 1981 r. we wrocławskiej katedrze z okazji poświęcenia wspomnianego pomnika.

Ostatecznie lista uczonych zamordowanych na Wzgórzach Wuleckich przedstawia się następująco:

1. Prof. dr **Antoni Cieszyński**, kierownik Zakładu Stomatologii UJK, uczestnik Obrony Lwowa 1918.

2. Prof. dr **Władysław Dobrzaniecki**, ordynator Oddziału Chirurgicznego Państwowego Szpitala Powszechnego, uczestnik Obrony Lwowa 1918.

3. Prof. dr **Jan Grek**, profesor przy Klinice Chorób Wewnętrznych — Terapeutycznej UJK.

4. Doc. dr **Jerzy Grzędzielski**, kierownik Kliniki Okulistycznej UJK.

5. Prof. dr **Edward Hamerski**, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych Zwierząt Małych Akademii Medycyny Weterynaryjnej, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r.

6. Prof. dr **Henryk Hilarowicz**, profesor przy Klinice Chirurgicznej UJK, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r.

7. Ks. doc. dr **Władysław Komornicki**, wykładowca nauk biblijnych w Wyższym Seminarium Duchownym.

8. Prof. dr **Włodzimierz Krukowski**, kierownik Katedry Pomiarów Elektrotechnicznych PL.

9. Prof. dr **Roman Longchamps de Berier**, kierownik Zakładu Prawa Cywilnego UJK, prorektor UJK w latach 1936—1938, rektor UJK w r.

1938/39, członek Milicji Obywatelskiej powołanej przez Naczelną Komendę Obrony Lwowa 1918.

10. Prof. dr **Antoni Łomnicki**, kierownik Katedry Matematyki Wydziału Mechanicznego PL, prorektor PL w r. 1939.

11. Doc. dr **Stanisław Mączewski**, ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Państwowego Szpitala Powszechnego (zamordowany prawdopodobnie dzień później).

12. Prof. dr **Witold Nowicki**, kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej UJK, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r.

13. Prof. dr **Tadeusz Ostrowski**, kierownik Kliniki Chirurgicznej — Propedeutycznej UJK i Kliniki Chirurgicznej UJK, dziekan Wydziału Lekarskiego w r. 1937/38, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r.

14. Prof. dr **Stanisław Pilat**, kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziarnych PL.

15. Doc. dr **Stanisław Progulski**, adiunkt Kliniki Pediatricznej UJK.

16. Prof. dr **Roman Rencki**, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych — Propedeutycznej UJK i Kliniki Chorób Wewnętrznych — Terapeutycznej UJK.

17. Prof. dr **Włodzimierz Sieradzki**, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UJK, rektor UJK w r. 1924/25, uczestnik Obrony Lwowa w 1918 r.

18. Prof. dr **Adam Solowij**, emerytowany ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Państwowego Szpitala Powszechnego.

19. Prof. dr **Włodzimierz Stożek**, kierownik Katedry Matematyki Wydziału Inżynierii Lądowej i Wodnej PL.

20. Zast. prof. doc. **Kazimierz Vetulani**, kierownik Katedry Mechaniki Ogólnej PL.

21. Prof. dr **Kasper Weigel**, kierownik Katedry Miernictwa I PL.

22. Prof. dr **Roman Witkiewicz**, kierownik Katedry Pomiarów Maszyn PL.

23. Dr **Tadeusz Boy-Zeleński**, lekarz, publicysta, krytyk literacki, tłumacz literatury francuskiej.

Wśród pozostałych dwudziestu osób zamordowanych wraz z wymienionymi uczonymi znaleźli się m.in. dr **Jerzy Nowicki**, asystent Zakładu Higieny Wydziału Lekarskiego UJK i inż. **Eustachy Stożek**, asystent Politechniki, synowie zamordowanych profesorów. Szczególna tragedia dotknęła jednak rodziny Longchamps i Stożków, bowiem prof. **Longchamps rozstrzelany został wraz z trzema synami, prof. Stożek z dwoma**. Oprócz wymienionych straceni zostali również syn prof. **Weigla**, syn doc. **Progulskiego**, wnuk prof. **Solowija**; nie oszczędzono też żon profesorów **Greka** i **Ostrowskiego**.

Fakt, że żadnego sprawcy tej najstraszliwszej zbrodni dokonanej na nauce polskiej nie osiągnęła nigdy kara, należy jednoznacznie wytłumaczyć znanym stanowiskiem władz byłej PRL, którym rzekomo niezręcznie było występować w sprawie tragedii polskich uczonych, jako że zginęli oni na terenie miasta, o którym należało milczeć.

Odnalezienie miejsca kaźni na Wzgórzach Wuleckich nie przedstawia do dnia dzisiejszego żadnej trudności. Położone jest ono u wylotu ul. Abrahamowiczów (obecnie ul. Boya), poniżej jej poziomu, w miejscu projektowanej przed wojną,

lecz nie istniejącej ul. Kosynierskiej, dokładnie naprzeciw wzniesionego po wojnie budynku nr 42 przy ul. Wuleckiej, w odległości ok. 100 m od niego.

2 lipca, tj. w przeddzień aresztowania uczonych, został aresztowany i uwięziony prof. dr **Kazimierz Bartel**, kierownik Katedry Geometrii Wykreślnej Wydziału Architektonicznego PL, doktor h.c. tej uczelni, senator Rzeczypospolitej, b. prezes Rady Ministrów i b. minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Początkowo uczony więziony był przez gestapo w gmachu przy ul. Pełczyńskiej, następnie przeniesiony został do więzienia „Łąckiego”, po czym wywieziony w nieznanym kierunku i stracony 26 lipca na polecenie Himmlera.

Trzy kolejne uwięzienia nastąpiły 11 lipca. Ofiarami stali się profesorowie Akademii Handlu Zagranicznego **Henryk Korowicz** i **Stanisław Ruziewicz** oraz dr **Władysław Tadeusz Wisłocki**, historyk, kustosz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wszyscy oni ponieśli śmierć w ciągu lipca 1941 r.

Prof. **Korowicz**, kierownik Katedry Ekonomii AHZ, był do wybuchu wojny rektorem tej uczelni, prof. **Ruziewicz**, matematyk, wieloletni profesor zwyczajny UJK, sprawował funkcję rektora AHZ.

W koszmarnym lipcu 1941 r. zginęli jeszcze prof. dr **Herman Auerbach**, profesor przy Zakładzie Matematycznym UJK, oraz doc. dr **Marian Auerbach**, filolog klasyczny, docent na Wydziale Humanistycznym UJK.

Na podstawie przedstawionych tu danych niepełne wydają się opublikowane dotychczas wykazy pracowników nauki, którzy zginęli w lipcu 1941 r., albowiem nie obejmują one dra **W. T. Wisłockiego**, prof. **H. Auerbacha** i doc. **M. Auerbacha**, chociaż nie jest wykluczone, że prof. **H. Auerbach** nie został zamordowany w lipcu 1941, lecz zmarł śmiercią samobójczą w sierpniu 1942 r.

26 X 1941 r. w wyniku trudnych warunków okupacyjnych zmarł prof. dr **Lucjan Grabowski**, kierownik Katedry Astronomii Sferycznej i Geodezji Wyższej PL, a 12 listopada tegoż roku zmarł uwięziony przez gestapo prof. dr **Stefan Grajewski** z Akademii Medycyny Weterynaryjnej.

Rok 1942 pochłonął kolejne ofiary. W dniu 27 stycznia uwięziony został ks. prof. dr **Stanisław Frankl**, o którym niżej, w lutym zamordowano dra **Emila Uricha**, lektora języka łacińskiego na Wydziale Humanistycznym UJK i dyrektora IV Gimnazjum im. Jana Długosza.

W sierpniu w obozie hitlerowskim na Kleparowie zamordowany został prof. dr **Maurycy Allershand**, adwokat. Na Wydziale Prawa UJK wykładał prawo egzekucyjne, historię i organizację sądownictwa, adwokatury i notariatu oraz prawo ubezpieczeniowe w lotnictwie.

W tymże samym miesiącu kolejną ofiarą stał się prof. dr **Adolf Beck**. Wybitny fizjolog, rektor UJK w r. 1912/13, emerytowany kierownik Zakładu Fizjologii na Wydziale Lekarskim, był pochodzenia żydowskiego. Nie wytrzymał presji antyżydowskich restrykcji wprowadzonych przez okupanta we Lwowie, zmarł śmiercią samobójczą. Do najznakomitszych jego uczniów należał An-

drzej Klisiecki, profesor fizjologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, później profesor AM we Wrocławiu, honorowy doktor tej uczelni i pierwszy rektor AWF we Wrocławiu.

Doc. dr **Helena Polaczkówna**, historyk, kustosz Archiwum Ziemińskiego we Lwowie, działała aktywnie w ZWZ-AK. Aresztowana również w sierpniu i osadzona w więzieniu „Łąckiego”, została następnie przewieziona do obozu w Majdanku i tam jesienią zamordowana.

Wydział Matematyczno-Przyrodniczy UJK utracił w 1942 r. dwóch biologów. Botanik doc. dr **Jan Badian** został zamordowany w sierpniu, a zoolog prof. dr **Kazimierz Kwietniewski**, do 1938 r. kierownik Zakładu Anatomii Porównawczej, zmarł 4 października w Warszawie na skutek nader ciężkich warunków okupacyjnych.

Następny rok okupacji hitlerowskiej, 1943, nie był mniej tragiczny od poprzedniego. Wśród ofiar znaleźli się znowu wybitni uczeni.

20 lutego w obozie koncentracyjnym w Majdanku zamordowano prof. dra **Kazimierza Tadeusza Kolbuszewskiego**, profesora zwyczaj. UJK, kierownika Zakładu Filologii Polskiej Starszej, dziekana Wydziału Humanistycznego w r. 1935/36. Powodem jego aresztowania była pomoc, jakiej udzielał osobom ściganym przez gestapo.

Docent UJK, profesor Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, dr **Jan Piekalkiewicz** zginął zamordowany w Warszawie w dniu 15 czerwca. W ostatnich latach przedwojennych na Wydziale Prawa UJK wykładał statystykę finansów publicznych i statystykę kredytową.

Doc. dr **Paweł Ostern**, biochemik z Zakładu Chemii Lekarskiej UJK, zmarł śmiercią samobójczą niezwłocznie po aresztowaniu w lecie 1943 roku.

Wielkie przygnębienie wśród społeczeństwa lwowskiego wywołała śmierć zastrzelonego przez Ukraińców w dniu 1 października kierownika Zakładu Histologiczno-Embriologicznego UJK, prof. dra **Bolesława Jałowego**. Śmierć ta stanowiła szczególną stratę dla lwowskiej medycyny, prof. Jałowy uważany był bowiem za nadzwyczaj zdolnego i obiecującego histologa, którego prace miały duże znaczenie teoretyczne.

W tym samym mniej więcej czasie zginął zamordowany przez Niemców prof. dr **Paweł Juliusz Schauder**, st. asystent Oddziału B Zakładu Matematycznego UJK, kierowanego przez prof. Hugo Steinhaus. Prowadził m.in. seminarium z analizy wyższej (równania różniczkowe cząstkowe, topologia). Śmierć P. J. Schaudera kończy hekatombę lwowskich matematyków, których zginęło siedmiu.

8 grudnia uzbrojone bandy ukraińskie dokonały zbrodnego napadu na plebanię w Jazłowcu. Zginął wówczas jej proboszcz, asystent Wydziału Teologicznego UJK i b. prefekt studiów w Wyższym Seminarium Duchownym, ks. dr **Andrzej Kraśnicki**. Miał 48 lat.

Doc. dr **Łucja Charewiczowa**, od 1931 r. kustosz Muzeum Historycznego Miasta Lwowa, była pierwszej jasności gwiazdą lwowskiej nauki. Na Wydziale Humanistycznym UJK do wybuchu wojny wykładała tematy: Wstęp do nauk historycznych, Miasta starożytności i średniowiecza,

Procesy urbanizacyjne doby nowożytnej i nowoczesnej, Miasta w Polsce na tle porównawczym, Źródła do dziejów miast polskich, Urbanizacja ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Pozostawiła po sobie szczególnie cenne, znakomite prace poświęcone historii Lwowa, w które wyposażony musi być dzisiaj warsztat każdego historyka badającego dzieje miasta. Od 1940 r. przebywała w Warszawie, gdzie uczestniczyła w nauczaniu na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Uwięzienie w lipcu 1943 r., Pawiak i Oświęcim brutalnie przerwały naukową i społeczną działalność Łucji Charewiczowej. Ta wspaniała uczona zmarła w oświęcimskim obozie zagłady 17 XII 1943 r. Była wzorem szlachetnego, skromnego sługi nauki, a nazwisko jej wypisane świetlanymi literami na kartach nauki polskiej jaśnieje wśród największych historyków polskich.

Ostatni miesiąc 1943 r. przyniósł śmierć prof. dra **Adama Fischera**, etnologa i etnografa, kierownika Zakładu Etnologicznego UJK, dziekana Wydziału Humanistycznego w r. 1934/35. Wykładał m.in. główne zagadnienia etnologiczne w Europie, etnografię dawnych Prusów, etnologicznie obszar bałkańskiego. Zmarł 22 grudnia na skutek braku opieki lekarskiej w wieku 54 lat; pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim.

Rok 1944, ostatni rok okupacji hitlerowskiej we Lwowie, nie był wolny od ofiar. Jak już wspomniano poprzednio, 27 I 1942 r. aresztowany został ks. prof. dr **Stanisław Frankl**, kierownik Zakładu Teologii Dogmatycznej UJK i rektor Wyższego Seminarium Duchownego. Był jednym z najmłodszych profesorów Uniwersytetu, nominację profesorską otrzymał w wieku zaledwie 35 lat. Jego wykłady z dogmatyki, prowadzone w języku łacińskim, cieszyły się szczególnym uznaniem i zainteresowaniem. Był kuratorem stowarzyszenia Koleżeńska Pomoc Studentom Teologii UJK.

Po przesłuchaniu w zajęтым przez gestapo gmachu Miejskich Zakładów Elektrycznych u zbiegu ulic Pełczyńskiej i Kadeckiej osadzony został w więzieniu „Brygidki” przy ul. Kazimierza Wielkiego, skąd udało mu się wydostać 15 IV 1943 r. dzięki udanej akcji AK. Pobyt w więzieniu doszczętnie zrujnował wątłe zdrowie młodego uczonego, który zmarł 26 VI 1944 r. Pochowany został na cmentarzu Janowskim. Żył 41 lat.

Na 6 dni przed wycofaniem się Niemców ze Lwowa i wkroczeniem do miasta armii sowieckiej zmarł śmiercią samobójczą (16 lipca) dr fil. i mgr farm. **Jan Poratyński**, wykładający na Oddziale Farmaceutycznym Wydziału Lekarskiego UJK ustawodawstwo farmaceutyczne i historię farmacji.

Dr St. (**Stanisław?**) **Hecht**, pochodzenia żydowskiego, asystent Zakładu Anatomii Patologicznej, był w 1944 r. lekarzem więziennym w więzieniu „Łąckiego”. I w tym więzieniu został zamordowany.

W tymże roku, najprawdopodobniej w obozie w Treblince, zginął dr **Leopold Blaustein**, psycholog, autor prac z dziedziny psychologii opisowej, nauczyciel szkoły średniej. 28 lipca w walce z oddziałami SS poległ pod Błazową oficer AK, inż. mech. **Stanisław Jacheć**, asystent PL.

W maju 1944 r. w Warszawie zmarł doc. dr **Stefan Łukasz Kwiatkowski**, adiunkt Kliniki Dermatologicznej UJK, wykładowca na Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, uczestnik Obrony Lwowa 1918 r., a w Powstaniu Warszawskim dr **Michał Mendys**, asystent w Archiwum Państwowym we Lwowie, późniejszy dyrektor Warszawskiego Archiwum Skarbowego.

Z omawianym okresem wojennej historii Lwowa, zwanym tu umownie okresem III (okupacja hitlerowska), wiążą się dalsze straty wśród pracowników nauki, w kilku przypadkach wykraczające poza czas jego trwania, lecz związane z walką zbrojną przeciw Niemcom bądź będące rezultatem przestępczych działań hitlerowskich. Mjr pilot dr **Tadeusz Halewski**, wykładowca na Wydziale Prawa UJK prawo administracyjne lotnicze i międzynarodowe umowy lotnicze, zginął śmiercią lotnika na terenie Wielkiej Brytanii.

Z asystentów Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziemiowych PL inż. **Jakub Ehrlich** zginął, a inż. **Tadeusz Patryń** zmarł w ciężkich warunkach okupacyjnych. Zginął również lek. wet. **Eugeniusz Maślak**, asystent Zakładu Anatomii A.M. Wet. Zamordowani zostali dr **Tadeusz Blumenfeld**, st. asystent Zakładu Prawa Handlowego i Wekslowego UJK, oraz dr **Jan Józef Dunicz**, st. asystent Zakładu Muzykologicznego UJK, ten ostatni 3 IV 1945 r. w obozie Dora-Nordhausen.

Artysta-malarz **Marian Ruzamski**, asystent Wydziału Architektonicznego PL, po zesłaniu do Oświęcimia i przetransportowaniu następnie do Bergen-Belsen, zmarł w 1945 r.

Okres IV (od 22 VII 1944)

10 IX 1944 r. to data śmierci prof. dra **Eugeniusza Artwińskiego**, neurologa i psychiatry, kierownika Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych UJK. Według M. Walczaka powodem zgonu były trudy życia okupacyjnego. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby 52-letni wybitny i znany lekarz znalazł się w warunkach tak ciężkich, że spowodowały one jego śmierć. Czy nie chodzi raczej o przestępczy czyn okupanta?

Już w niecałe pół roku po zainstalowaniu się we Lwowie przestępcze elementy, stanowiące polityczną władzę stalinowską, dokonały masowych aresztowań wśród ocalałej, chociaż już zdziesiątkowanej elity naukowej Lwowa. Dziś wprost wierzyć się nie chce, że znakomici uczeni, którzy na trwałe weszli do historii nauki polskiej, których pamięć jest czczona w wielu ośrodkach akademickich, których imionami nazywa się ulice, instytuty, sale wykładowe, mogli zostać uwięzieni jak pospoliccy kryminaliści. W rzeczywistości identycznie jak ci ze Wzgórz Wuleckich, winni byli oni wszyscy tego samego przestępstwa — byli Polakami.

Aresztowania rozpoczęły się w nocy z 2 na 3 stycznia 1945 r. i trwały tydzień. Ocenia się, że uwięziono ponad 17 tys. osób. Wśród nich znaleźli się m.in.:

1. Prof. dr **Włodzimierz Burzyński**, kierownik Katedry Mechaniki Technicznej PL, dziekan Wydziału Mechanicznego.

2. Doc. dr **Adrian Demianowski**, psychiatra, wykładowca na Wydziale Lekarskim UJK.

3. Prof. dr **Stanisław Fryze**, kierownik Katedry Elektrotechniki Ogólnej PL.

4. Prof. dr **Ryszard Ganszyniec**, kierownik Zakładu Kultury Starożytnej (Filologii Klasycznej III) UJK.

5. Prof. inż. **Edward Tadeusz Geisler**, kierownik Katedry Obróbki Metali PL.

6. Prof. dr **Marian Kamiński**, kierownik Katedry Mineralogii i Petrografii PL, dziekan Wydziału Chemicznego.

7. Prof. inż. **Aleksander Kozikowski**, kierownik Katedry Ochrony Lasu i Entomologii Lasowej PL.

8. Prof. dr **Tadeusz Kuczyński**, kierownik Katedry Technologii Chemicznej i Elektrochemii PL.

9. Prof. inż. **Emil Łazoryk**, kierownik Katedry Statyki i Budownictwa Żelaznego i Żelazo-Betonowego PL, dziekan Wydziału Architektonicznego.

10. Prof. dr **Juliusz Makarewicz**, kierownik Zakładu Prawa Karnego UJK.

11. Prof. inż. **Witold Minkiewicz**, kierownik Katedry Architektury II PL.

12. Prof. inż. **Wilhelm Mozer**, kierownik Katedry Budowy Maszyn Kolejowych PL.

13. Doc. dr **Zdzisław Pazdro**, st. asystent Zakładu Geologicznego UJK.

14. Prof. dr **Edwin Płazek**, kierownik Katedry Chemii Ogólnej PL.

15. Prof. dr **Kazimierz Przybyłowski**, kierownik Zakładu Prawa Prywatnego Międzynarodowego UJK, dziekan Wydziału Prawa w r. 1937/38.

16. Prof. inż. **Gabriel Sokolnicki**, kierownik Katedry Urządzeń Elektrycznych PL.

17. Prof. dr **Edward Sucharda**, kierownik Katedry Chemii Organicznej PL, rektor PL w r. 1938/39.

Część z wymienionych uczonych została po kilku miesiącach uwolniona, niektórych deportowano do Donbasu, skąd szczęśliwie udało im się powrócić do Polski. Dwóch uczonych deportacji na nieludzką ziemię nie przeżyło: prof. **Emil Łazoryk** zmarł w Krasnodonie 14 II 1945 r., prof. **Tadeusz Kuczyński** 25 VI 1945 w Woroszyłowgradzie.

Tu należy z niepokojem zasygnalizować, że nazwiska obu zmarłych uczonych nie figurują na liście strat polskiej nauki.

Powyższy mniej lub więcej suchy wykaz strat lwowskiej nauki nie jest kompletny, jest jednak wystarczająco przerażający. Nie wymaga żadnych uogólnień i komentarzy.

Bibliografia

[1] Z. Albert, *Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r.*, „Przegląd Lekarski” 1964, 20, ser. II, nr 1; Z. Albert, *Mord profesorów lwowskich w lipcu 1941 roku*, [w:] *Każń profesorów lwowskich, Lipiec 1941*, Wrocław 1989.

[2] W. Bonusiak, *Kto zabił profesorów lwowskich?* Rzeszów 1989.

- [3] W. Jacewicz, J. Woś, *Martyrologia polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939—1945*, Warszawa 1978, ATK, Zeszyt III.
- [4] S. Juniewicz, *Budownictwo wodne na Politechnice Lwowskiej i Wrocławskiej*, Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego 1987, ser. B, nr 210.
- [5] M. Kulczyńska, *Lwów — Donbas 1945*, Warszawa 1988, Biblioteka Tygodnika Demokratycznego.
- [6] S. Sterkowicz, *Tadeusz Boy-Żeleński. Lekarz — pisarz — społecznik*, Warszawa 1974.
- [7] A. L. Szczeniak, *Katyn. Lista ofiar i zaginionych jeńców obozów Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk*, Warszawa 1989.
- [8] Ks. W. Szelnicki, *Zapomniany lwowski bohater ks. Stanisław Frankl*, Roma 1983.
- [9] K. Szumowski, *Obrona stacji radiotelegraficznej w Kozielnikach 3 listopada 1918. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918—1920*, Seria II, Rocznik Towarzystwa Badania Historii Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich 1936, 1.
- [10] M. Walczak, *Szkołnictwo wyższe i nauka polska w latach wojny i okupacji 1939—1945*, Ossolineum 1978.
- [11] W. Żeleński, *Odpowiedzialność za mord profesorów lwowskich „Wiadomości”*, Londyn, nr 1466 i 1467, 5 i 12 V 1974; W. Żeleński, *Wokół mordu profesorów lwowskich w lipcu 1941*, „Odra” 1988, nr 7—8.

Obchody 50-tej rocznicy zamordowania polskich profesorów we Lwowie

4 lipca br. minęło 50 lat od zamordowania wybitnych polskich uczonych — profesorów akademickich uczelni Lwowa, którzy zginęli rozstrzelani na Wzgórzach Wuleckich w 1941 r.

Po raz pierwszy w powojennej historii Polski warunki polityczne umożliwiły godne i publiczne obchody tej tragicznej rocznicy. Organizatorami tej uroczystej sesji była Politechnika Wrocławska i Zarząd Główny TML we Wrocławiu. JM Rektor tej uczelni prof. dr hab. Andrzej Wiszniewski oraz przedstawiciele Senatu swoim czynnym uczestnictwem (piękne przemówienie Pana Rektora pod pomnikiem zamordowanych profesorów) nadali tym obchodom właściwy wymiar. Uroczystości rozpoczęły się Mszą Św. żałobną celebrowaną przez księdza biskupa Adama Dyczkowskiego. Licznie zgromadzeni goście, wśród których byli też przedstawiciele innych uczelni wrocławskich i władze miasta (pan prezydent Bogdan Zdrojewski), towarzyszyli podniosłej uroczystości — apelowi poległych przy współudziale kompanii honorowej Wojska Polskiego.

Druga część obchodów miała miejsce w auli Politechniki. Wygłoszono 11 referatów, w których przedstawiono sylwetki zamordowanych profesorów oraz okoliczności i tło polityczne tej zbrodni. Nie została ona ukarana, a wysiłki polskie, mimo starań takich osobi-

ści, jak prof. dr Karolina Lanckorońska, mecenas Władysław Żeleński czy wspomagający tę akcję inż. arch. Z. Pręgowski, nie dały rezultatu. Pan inż. Zdzisław Pręgowski przybył ze Szwajcarii i był obecny na sesji. Towarzyszyła jej okolicznościowa wystawa pt. *Leopolis docet (Lwów uczy)* w gmachu głównym Politechniki. Autorem wystawy był dr inż. Ryszard Czocho, nie żałujący czasu ani sił, by przedstawić niezwykle interesującą ekspozycję, w której tragiczne losy zamordowanych profesorów wplecione zostały w historię walk o Lwów, jego kulturę, naukę i rolę, jaką odegrało miasto w II Rzeczypospolitej.

Wystawa była czynna już od 11 czerwca. W jej kameralnym otwarciu wziął udział pan Józef Baranowski, prezes Koła Lwowian w Londynie. Bawił on prywatnie we Wrocławiu i zupełnie przypadkowo spotkał się go właśnie 11 czerwca na tej wystawie.

Głównym organizatorem obchodów ze strony Politechniki był prof. dr hab. Marian Cegielski. Współpraca Zarządu Głównego z panem profesorem układała się znakomicie. Wyrażamy mu serdeczne podziękowanie za jego pomoc, rady i życzliwość.

Danuta Nespiak

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Trzy wcielenia zapomnianego lwowskiego kościoła

Trynitarze: Ordo Sanctissimae Trinitate de Redemptione Captivorum, czyli Zakon Przenajświętszej Trójcy do Wykupu Jeńców. Kto spośród najstarszych nawet i najbardziej wykształconych lwowian wie, że ten prastary, w XII w. powstały zakon zbudował w naszym mieście aż dwa kościoły i klasztory? Gdzie się znajdowały? Kiedy je wzniesiono i jakie koleje przechodziły? Dlaczego przestały w naszej świadomości istnieć? Czy stoją nadal?

Zajmijmy się jednym z nich, starszym i ongiś ważniejszym. Dramatyczne losy tej budowli zasługują na przypomnienie.

Kim byli Trynitarze i dlaczego przybyli do Lwowa?

Szczególne położenie polskich ziem południowo-wschodnich — których Lwów, od czasu ich odzyskania przez Kazimierza Wielkiego, był głównym ośrodkiem — położenie w zasięgu najazdów tatarskich i ekspansji tureckiej usytuowało je w obrębie szerokiego pasa, biegnącego od wschodnich rubieży Europy (Uralu) poprzez kraje bałkańskie i śródziemnomorskie, aż po Półwysep Iberyjski, obszarów narażonych na ciągłe zagrożenie ze strony państw i ludów islamskich. Nieustanne najazdy, wojny i aneksje dawały im okazję do porywania w niewolę — w „jassy” — setek i tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy przeznaczeni do najcięższych i hańbiących posług, nie mieli szansy powrotu w ojczyście strony. Jedyną nadzieją — co prawda dla niewielu niewolników — był wykup. Na ogromne sumy, jakich żądano za uwolnienie jeńca, mogły sobie pozwolić tylko rodziny zamożne. Los pozostałych był przesądzony.

W Kościele katolickim powstała myśl powołania organizacji, której celem byłoby zbieranie funduszy na wykupywanie niewolników. Założony w wyniku tej inicjatywy w 1198 r. zakon Trynitarzy rozwijał się pomyślnie, skoro w XVII w. posiadał już w całej Europie, łącznie ze swą odmianą żeńską, 300 klasztorów, a nawet podzielił się na dwie gałęzie: Trynitarzy „trzewikowych”, z główną siedzibą w Rzymie, oraz „bosych” — w Hiszpanii. Tych ostatnich poznał opat mogiński Jan Kazimierz Denhoff i zarekomendował królowi Janowi Sobieskiemu.

W tym czasie na ziemiach polskich szczególnie nasiliły się łupieżcze najazdy Tatarów i Turków, a także sprzymierzonych z nimi Kozaków. Potęga Porty została co prawda złamana pod Wiedniem, ale Tatarzy krymscy wpadali na nasze ziemie kilkoma szlakami — przez Ukrainę lub Mołdawię. Nie było niemal wsi na Wołyniu, Podolu, Poku-

ciu, w której by się nie przechowywała przez wieki pamięć o dzikich hordach, bojach, pożogach i mordach, rabunkach i brankach. Ślady tamtych wydarzeń odnajdujemy nie tylko w ludowej pieśni, w ówczesnej i późniejszej literaturze, ale w dotrwałych do obecnych albo niedawnych czasów zamkach i fortecach, szańcach, kryjówkach i „tatarskich mogiłach”.

Praktyka wykupywania niewolników z rąk tureckich i tatarskich istniała u nas jeszcze przed przybyciem Trynitarzy. Poza rodzinami pojmanych łożyli na ten cel królowie, biskupi, łożyło także miasto Lwów, położone najbliżej ziem, na których rozgrywały się dramatyczne wypadki; były to wszakże akcje doraźne, nie zorganizowane. Rekomendacja opata Denhoffa trafiła w Polsce na podatny grunt. W 1685 r. przybyła z Madrytu do Warszawy grupa zakonników hiszpańskich z zadaniem założenia w naszym kraju klasztoru, a może nawet prowincji trynitarzkiej. Skierowano ich niezwłocznie do Lwowa, który z racji położenia był do tego celu najbardziej predestynowany.

We Lwowie Hiszpanami zaopiekowali się ojcowie Teatyni, a protektorem nowego zakonu stał się hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski. Z ich to pomocą, po długich zresztą poszukiwaniach odpowiedniej lokalizacji, zakupili Trynitarze wewnątrz murów miejskich (to istotny szczegół, bo druga placówka trynitarzka powstała później poza murami miasta), w pobliżu Bramy Krakowskiej kamienicę, zwaną „Malechowską”, przy dzisiejszej ul. Krakowskiej. Dotychczasowy jej właściciel, szlachcic Aleksander Dynowicz, wprowadzał się ze Lwowa, ponieważ został powołany na wysokie stanowisko dworskie — burgrabiego pałacu królewskiego w Wilanowie.

Trynitarze osiedli we własnym domu już w 1686 r. i w tymże roku pojawił się pierwszy zakonnik Polak, syn mieszczanina lwowskiego, Jan Białozor, a za nim przyszli rychło następni. Budowali więc tę odległą od macierzystej Hiszpanii wspólnotę Hiszpanie i Polacy. Ci pierwsi zresztą wymieniali się nieustannie. W rok po założeniu lwowskiego domu jego pierwszy superior Jan a San Antonio powrócił do rodzinnego kraju, powołany na generała całego zakonu. Na jego miejsce przybył nowy Hiszpan, ale w ćwierć wieku później klasztor lwowski był już czysto polski.

Przypatrzmy się głównej działalności lwowskich Trynitarzy. Celem ich przywołania do Polski był wykup, czyli „redempcja” z rąk tatarskich i tureckich jeńców, ciągle porywanych z naszych ziem. Pierwsza redempcja odbyła się w 1688 r.,

a więc już w dwa lata po przybyciu Trynitarzy do naszego miasta. Do czasu kasaty klasztoru lwowskiego przez Austriaków w 1783 r. (po pierwszym rozbiórce Polski), a więc przez 95 lat, odbyło się 18 redempcji, w których wykupiono 517 niewolników. Przed każdą wyprawą musieli Trynitarze nabyć konie i wozy, zapasy żywności, nająć woźniców i służbę, a wjechawszy w granice państwa tureckiego lub krymskiego okupywać się tamtejszymi urzędnikom i dygnitarzom, opłacać „firmany”, tłumaczy, konwojentów, obrońców i informatorów o miejscu pobytu niewolników, wynajmować lokale, sprowadzać jeńców do miejsca swego postoju, a wreszcie uiszczając sumy tytułem wyzwolenia i wykupu, sprawić jeńcom odzienie, regulować podatki (haracz) i opłaty, a w końcu wyposażyć na dalsze życie. Ten ostatni ciężar ponosili często świeccy dobrodziejcy. Do nich zaliczała się przede wszystkim można rodzina Wielhorskich, od czasu gdy jej młody przedstawiciel Antoni wstąpił do Trynitarzy. Tenże Antoni Wielhorski został jako pierwszy Polak superiorem klasztoru we Lwowie i ministrem-prowincjałem prowincji polskiej. Klasztor lwowski stał się bowiem od 1726 r. metropolią polskich Trynitarzy, których domy zaczęły powstawać na terenie całego kraju (drugi w Warszawie, trzeci w Krakowie, a właściwie w Kazimierzu, wtedy osobnym mieście, potem w Stanisławowie, Beresieczku, w Wilnie na Antokolu, w Kamieńcu Podolskim, Łucku, Brześciu, Lublinie, Bursztynie i wielu innych, a także drugi we Lwowie). Zadaniem tych domów było gromadzenie funduszy wykorzystywanych później do redempcji.

Wróćmy do dziejów lwowskiego klasztoru. Kamienica Malechowska mogła być traktowana jedynie jako tymczasowa siedziba zakonu. Nie było kościoła, urządzono więc prowizoryczną kaplicę w największym pomieszczeniu domu, a nieco później dobudowano mały kościółek. W 1696 r. dokupiono pobliską kamienicę zwaną „Marchwianą”, w rok później kolejną kamienicę od mieszczanina Michała Morawca, a w końcu kamienicę „Cedromańską” od mieszczanina Józefa Brevi. Tak obszerna posiadłość pozwalała już realnie przystąpić do budowy klasztoru i kościoła. Dzięki fundacjom Wielhorskich, Zofii Klońskiej i innych donatorów rozpoczęto roboty w 1703 r. Budowa, przerwana najazdem szwedzkim i ograbieniem Trynitarzy, zakończyła się konsekracją kościoła w 1731 r.

Nie znamy nazwiska budowniczego tego kościoła, nie dysponujemy również żadną ryciną z tamtych czasów. Architekt był zapewne zdolnym i doświadczonym fachowcem, ponieważ — pomimo zespęcających uzupełnień (kopuł na wieżach) z czasu przeróbki na cerkiew Przemienienia na początku XX w. — główna fasada kościoła, zbudowana w duchu barokowego klasycyzmu, a przede wszystkim wewnątrz zwieńczone kopułą czynią nadal monumentalne wrażenie.

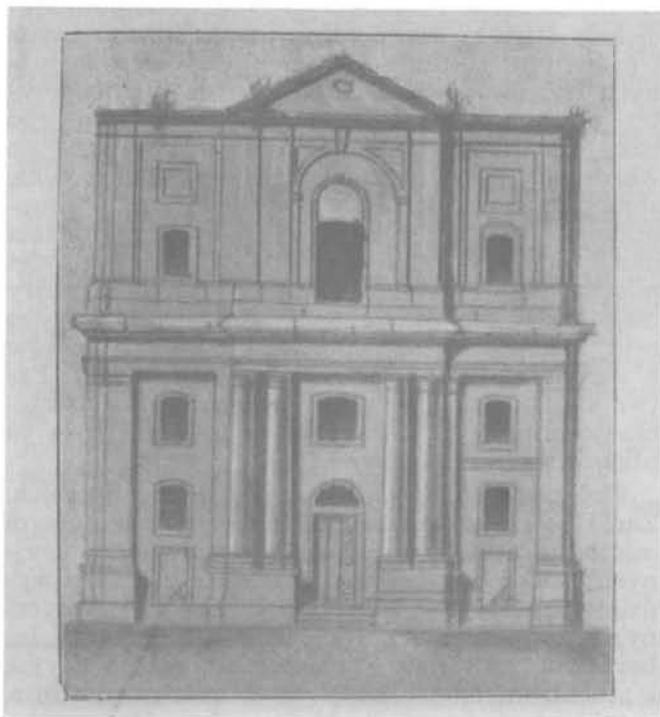
Fasada frontowa została zakomponowana w dwu wysokich kondygnacjach nadających jej wyniosłość w stosunku do zabudowy niezbyt szerokiej ul. Krakowskiej. Nad fasadą wznosiły się dwie symetryczne, nie znane nam dziś wieże, nakryte na pewno hełmami, podobnymi do tych, jakie widzimy na innych barokowych kościołach.

Zostały, niestety, zniszczone w XIX w. Zasadniczym akcentem fasady jest monumentalny portal z parami kolumn po obu stronach głównego wejścia. Wnętrze jest trójnawowe, jednak zgodnie z duchem baroku środkowa nawa wyróżnia się przestrzennością i bogatymi, lecz klasycznymi podziałami architektonicznymi, które uzupełniała nie istniejąca już dekoracja malarska z 1748 r. (znana jedynie z opisu). Na skrzyżowaniu z transeptem wznosi się wysoka kopuła.

W czasie wielkiego pożaru miasta w 1734 r. kościół i klasztor ocalały, mimo iż ogień nie oszczędził wówczas pobliskich kościołów Św. Ducha, Jezuitów i Franciszkanów. Nie ominął jednak kościoła Trynitarzy kolejny wielki pożar Lwowa w 14 lat później, gdy spłonęła również Katedra Ormiańska i kościół Benedyktynek ormiańskich. Kościół Trynitarzy jednak nie tylko niezwłocznie odbudowano, ale przyozdobiono wspomnianymi już malowidłami freskowymi, których malarz nie jest nam znany z nazwiska.

Po zbudowaniu kościoła i klasztoru „w mieście” (lub „na Krakowskim”) przystąpiono do budowy drugiego, „za miastem”. Kościół ów, znany pod wezwaniem Św. Mikołaja, stoi do dziś w formie mało zmienionej.

Kres pięknej działalności lwowskiej metropolii trynitarzkiej przyniosła — zaledwie w rok po ostatniej redempcji (1781/82) i w 11 lat po zajęciu Lwowa przez Austriaków w I rozbiórce — tzw.



Ruiny kościoła oo. Trynitarzy we Lwowie po pożarze w 1848 r. (wg J. Białynia-Chołodecki, *Trynitarze*, Lwów 1911)

kasata józefińska. Na obszarze całej monarchii habsburskiej likwidowano zakony uznane za zbędne. W 1783 r. cesarz Józef II wydał dekret znoszący całkowicie zakon Trynitarzy, w tym wszystkie jego galicyjskie klasztory, z oboma lwowskimi na czele. Podobny los spotkał we Lwowie klasztory Jezuitów, Bonifratrów, Teatynów, Pijarów, Paulinów, Franciszkanów (likwidacja klasztoru, a nie zakonu), Dominikanów (przy kościele Św. Marii Magdaleny oraz Obserwantów), Dominikanek, Karmelitów i Karmelitanek, Bernardynek, Brygidek i wiele innych.

Los odebranych kościołów i klasztorów był różny. Budynki klasztorne oddano na urzędy (dla tworzącej się w stolicy nowego kraju biurokracji), na koszary, szkoły lub szpitale, a nawet więzienia. Niektóre kościoły zamieniono na parafialne lub — by zantagonizować ludność polską i napływową — na świątynie innych wyznań. W innych utworzono teatr, bibliotekę, magazyny.

Kościół i klasztor Trynitarzy przy ul. Krakowskiej doznał szczególnego wyróżnienia. W 1783 r. przybył osobiście do Lwowa wizytujący nowo nabytą prowincję Galicję-Lodomerię cesarz Józef II i po obejrzeniu tych gmachów przeznaczył je dla uniwersytetu, który na nowo zamierzono otworzyć. Dotychczasowa bowiem Akademia Lwowska, ustanowiona przywilejem króla Jana Kazimierza w 1661 r., prowadzona przez Jezuitów i mieszcząca się w budynkach jezuickich, została zlikwidowana wraz z kasatą tego zakonu, profesorowie i studenci rozpedzeni, a majątek zarekwirowany. W ten sposób zaprzepaszczony został ponad stuletni dorobek uczelni, która wychowała wielu wybitnych Polaków, jak Grzegorz Piramowicz, Ignacy Krasicki, Franciszek Karpiński, Kasper Niesiecki, Tadeusz Krusiński (ówcześnie słynny na całą Europę orientalista).

Mimo formalnej likwidacji Akademia całkowicie nie zamarła. Powołano do życia Collegium Medicum, otwarto różne kursy nauk filozoficznych i prawnych, studium teologiczne. Z tych to luźnych tworów powstał w 1784 r. nowy Uniwersytet, powołany oficjalnie przez Józefa II, a jego bazą materialną stała się niebłaha spuścizna po Akademii Jana Kazimierza: bogata biblioteka, zbiory naukowe, a nawet obserwatorium astronomiczne. Mimo iż językiem wykładowym pozostała nadal łacina, w zamierzeniu zaborcy Uniwersytet miał stać się uczelnią niemiecką i kształcić kadry niemieckiej lub zniemczonej inteligencji. Do tego celu zaczęto więc sprowadzać wykładowców z wszystkich krajów monarchii austriackiej. Łatwo się domyśleć, że w pierwszym okresie istnienia józefińskiego Uniwersytetu niewielu było tu prawdziwych luminarzy nauki.

Wróćmy jednak do gmachów potrynitarzkich. Zaraz po reaktywowaniu Uniwersytetu w nowym miejscu przystąpiono naprędce do prac adaptacyjnych, trzeba było bowiem pomieścić tu cztery wydziały (teologiczny, filozoficzny, prawny i medyczny) oraz gimnazjum. Na parterze ulokowano laboratoria medyczne i chemiczne, salę sekcyjną i „theatrum anatomicum” oraz instrumentarium, a także mieszkania dla służby. Do celów wykładowych powstało na I piętrze dwadzieścia sal, wąskich i długich, które utworzono przez wybu-

rzenie ścian między celami, a dalej wielki gabinet przyrodniczy, kancelaria i sala posiedzeń senatu. Najlepszą jednak część budynku przeznaczono na mieszkania dla napływowych profesorów, przydzielane im bezpłatnie. Całe II piętro zajęło gimnazjum; mieściły się tu także sale wykładowe wydziału prawniczego, laboratorium fizyczne i inne. Kościół zamieniono na bibliotekę i zarazem aulę Uniwersytetu.

Pierwszym rektorem nowego Uniwersytetu został ksiądz Antoni Wacław Betański, biskup przemyski, z urodzenia Czech z Pragi, człowiek głęboko wykształcony. Profesorowie tego czasu noszą nazwiska niemieckie, węgierskie, czeskie, chorwackie, nawet francuskie, ale nazwiska polskie zaczynają się pojawiać już niebawem, idąc w parze ze stopniowym polszczeniem się elementu napływowego. Nim to jednak nastąpi, Uniwersytet przeżyje kolejne dramatyczne wydarzenia.

Jednym z rezultatów trzeciego rozbioru Polski było przyłączenie do Galicji nowych ziem, razem z Krakowem. Istniejąca tam Akademia Jagiellońska także nie przedstawiała naówczas kwitującego stanu, była jednak starsza, większa i sławniejsza od Uniwersytetu we Lwowie. Powstała tedy koncepcja — nie bez udziału samej krakowskiej Akademii i Kościoła — by Uniwersytet lwowski zamknąć, a jego profesorami i środkami podeprzeć krakowski. Ponieważ po śmierci Józefa II „najwyższa protekcja” ustała, a Austria po wojnach napoleońskich znalazła się w stanie krachu finansowego, chętnie dano posłuch tej intrydze i w 1805 r. Uniwersytet józefiński we Lwowie prze-



Cerkiew Przemienienia (dawniej kościół Trynitarzy)

stał istnieć, na jego zaś miejscu — w tych samych gmachach — powołano Liceum.

Liceum także było wyższym zakładem, posiadało cztery wydziały (studium chirurgiczne zamiast wydziału medycznego), różniło się jednak od Uniwersytetu pewnymi ograniczeniami: mniejszą liczbą katedr, krótszymi studiami, bez prawa promocji doktorskich (ale już w 1806 r. prawo to częściowo przywrócono). Zakład borykał się z wielkimi trudnościami, co mu atoli nie przeszkadzało w powolnym, lecz systematycznym rozwoju naukowym i liczebnym. Po kilku latach liczba studentów przekroczyła stan krakowskiej Akademii, kadra profesorska podniosła swój poziom, zyskując wiele nowych sił, w tym coraz więcej Polaków. Kiedy w 1809 r. Kraków odpadł od Galicji, tworząc na lat bez mała czterdzieści osobną Rzeczpospolitą Krakowską, rozpoczął się renesans uczelni we Lwowie. Powrócili profesorowie, utworzono nowe katedry, tak iż restytucja pełnoprawnego uniwersytetu była już tylko kwestią formalnej zmiany nazwy. Stało się to w 1817 r. na mocy aktu cesarza Franciszka I.

Struktura uczelni, zwanej odtąd „*Universitas Franciscea*”, nieco się zmieniła w stosunku do poprzednich: trzy wydziały (filozoficzny, teologiczny i prawny) oraz studium medyczno-chirurgiczne, a także gimnazjum „akademickie”. Niekorzystną nowością stało się — wobec nasilającej się ówczesnie presji germanizacyjnej — wprowadzenie niemieckiego jako języka wykładowego, co prawda z równoczesną rekompensatą: utworzeniem katedry języka polskiego, obok istniejącej wcześniej katedry prawa polskiego.

Pierwszym rektorem tego Uniwersytetu został arcybiskup lwowski Andrzej Alojzy Skarbek-Ankwicz. Wśród ciała profesorskiego przeważali wprawdzie nadal Niemcy, Polaków jednak już nie brakowało. Najbardziej popularną postacią tego czasu stał się profesor filozofii, a później dyrektor biblioteki uniwersyteckiej Franciszek Stroński, jeden z długiej dynastii lwowskich uczonych i polityków.

Gmachy uniwersyteckie na nowo odrestaurowano w latach 1825—1828 i w takim stanie duchowym i materialnym uczelnia dotrwała do roku 1848.

Powstanie 1831 r. spowodowało czasowe opustoszenie sal wykładowych. Do powstania szli nawet synowie nieprzyjaznych polskości dygnitarzy austriackich, poddając się owej niezwyklej sile asymilacji, jaką posiadał Lwów i ziemie południowo-wschodnie, przyczyniając Polsce zastępy wybitnych ludzi o niepolskich nazwiskach.

Era konspiracyjna po Powstaniu Listopadowym zaktywizowała środowisko uniwersyteckie. Gmachy przy ul. Krakowskiej stały się kuźnią idei i ośrodkiem działania licznych związków demo-

kratyczno-wolnościowych. Ich ukoronowaniem będzie w 1848 r. wystąpienie do władz austriackich o wprowadzenie języka polskiego w szkolnictwie, sądach i urzędach w całej Galicji. Wobec zaogniającej się sytuacji w całej monarchii, gubernator Stadion rozpoczął dość pośpiesznie realizację tego postulatu, nie zapobiegło to jednak ulicznym rozruchom. Około południa 2 XI 1848 r. wojskowy komendant miasta generał Hammerstein polecił strzelać z armat ustawionych w kilku punktach wokół śródmieścia. Jednym z pierwszych celów stały się gmachy uniwersyteckie, główne — według mniemania władz — źródło niepokoju. Strzelanina okazała się, niestety, skuteczna: budynki objął pożar. Cały zespół uniwersytecki wraz z biblioteką spłonął.

Tak zakończyła się druga faza dziejów niegdyśszego kościoła i klasztoru Trynitarzy, a zarazem kolejny rozdział historii lwowskiego Uniwersytetu. Bilans strat był dlań tragiczny. Ogień strawił wszystkie niemal zbiory naukowe Uniwersytetu, a z biblioteki liczącej ponad 50 tys. dzieł uratowano zaledwie jedną czwartą. Nadwężone pożarem mury budynków wkrótce zawaliły się. Dalsze losy Uniwersytetu związane były już z inną siedzibą.

Ostatni rozdział historii byłej siedziby trynitarzkiej dotyczy już tylko kościoła — mury dawnego klasztoru przestały istnieć. Miejsce to jest odtąd ściśle związane z narodowościową polityką austriackiego zaborcy. Spalone ruiny władze oddały nowo powstałemu towarzystwu „*Matycy Ruska*”, które na miejscu klasztoru zbudowało „*Narodny Dom*”.

Kościół aż do pierwszych lat naszego wieku pozostał ruiną użytkowaną przez społeczne męty miasta. Tylko jego podziemia nowi właściciele odnajmowali kupcom na składy wódek, piwa i innych artykułów. Dopiero w 1906 r. monumentalne mury kościoła zostały odnowione na cerkiew Przemienienia (*Prieobrażenija*). Architekt S. Hawryszkiewicz zaprojektował nowe zwieńczenia wież w formie kopuł, które niestety, budowlę zeszpeciły. Stanowią dziś zgrzyt w pięknej panoramie lwowskiego starego miasta.

Nowym nabytkiem cieszyli się grekokatolicy przez 40 lat. Kościół unicki nie przeżył upadku II Rzeczypospolitej i w 1946 r. cerkiew Przemienienia została przez władze sowieckie zamknięta na kolejne cztery (z górą) dziesięciolecia. Nowa faza dziejów tej świątyni otwiera się obecnie, w chwili gdy papież Polak Jan Paweł II doprowadza do reaktywowania Kościoła grekokatolickiego. Cerkiew Przemienienia została w 1989 r. siłą opanowana przez unitów jako pierwsza we Lwowie z ich dawnego stanu posiadania.

Czyż nie są niezwykle losy potrynitarzkiego kościoła?

Ormianie w międzywojennym Lwowie

Na specyfikę kulturową dawnego Lwowa znacząco wpłynęła zamieszkująca ten gród społeczność ormiańska. Powiedziano o niej, że to „orient pod lwowskim niebem”, że to „kawałeczek Azji rzucony na ruską ziemię”. Lwów zawdzięcza wiele tym ludziom. Bez nich pewnie nie byłby takim fenomenem i nie aż tak bardzo byśmy się nim dziś zachwycali.

Chciałbym opowiedzieć o lwowskich Ormianach między światowymi wojnami; czasy wcześniejsze tej grupy etnicznej studiowano często i chętnie, stąd są o wiele lepiej znane. W międzywojniu Ormianie polscy nie są już właściwą grupą etniczną. W wyniku wielowiekowych procesów asymilacyjnych stali się oni Polakami. Zaiste Polacy to byli nadzwyczajni, bo kulturowo wyposażeni w dodatkowe elementy, których próżno by szukać u typowych Lechitów. Elementy te tworzyły niezwykle frapującą etniczność marginalną, tak charakterystyczną w zaawansowanych stadiach asymilacji. Zadziwiające, że nie ma w nich wtedy smutku umierającego ethosu, jakby byli spokojni o swoje dziedzictwo.

Owo dziedzictwo to sześciowiekowe dzieje Ormian lwowskich. Lwów stanowił swoiste centrum polskich Ormian, którzy na swoje prywatne ojczyzny wybrali miejscowości południowo-wschodniej Rzeczypospolitej. Duże znaczenie miał kiedyś dla nich Kamieniec Podolski oraz Zamość, ale nie trwało to długo. Najwięcej ich było we Lwowie, gdzie też znajdowały się instytucje mogące jednoczyć rządzące się na ogół autonomicznie poszczególne gminy. W mieście nad Pełtwią miał swą siedzibę arcybiskup ormiański. Jak wiadomo, przybywający do Polski Ormianie należeli do Kościoła gregoriańskiego — narodowego kościoła Ormian założonego w IV w. Uważano ich więc za heretyków i nakłaniano do przejścia na katolicyzm, co nastąpiło w XVII w. Zamiana Eczmiadzinia na Rzym nie poszła łatwo, najbardziej tragiczny przebieg miała we Lwowie. W tym też mieście żyli najbogatsi kupcy, najzdolniejsi rzemieślnicy i artyści. Dzięki nim w dużej mierze, zwłaszcza w XVII w., miało miejsce zjawisko przez historyków kultury zwane „orientalizacją smaku polskiego”. Otóż wśród szlachty i bogatego mieszczaństwa stały się wówczas modne różne przedmioty będące specjalnością kultury wschodniej. Ormiańscy kupcy sprowadzali zatem kobierce, pasy, namioty, uprzęż na konie i klejnoty bądź wytwarzali je we Lwowie rzemieślnicy i artyści według orientalnych wzorów. Znając doskonale Wschód, chociażby z wypraw handlowych, służyli Rzeczypospolitej jako dyplomaci i dragomani, służyli jej jako żołnierze, w trudnych chwilach nie żalowali dla niej pieniędzy. Kiedy zaś ich druga ojczyzna zaczęła upadać, skończyła się także prosperita lwowskich Ormian.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r. bardzo zaważyło na dalszych losach tej społecz-



Katedra Ormiańska we Lwowie
Fot. Z. J. Zieliński

ności. Ludzie ci, niemal całkowicie spolonizowani, czuli się w nowym państwie integralną częścią narodu, który dodatkowo wzbogacali swą ormiańskością. Nie zerwali jednak łączności z Armenią i diasporą. Mający miejsce w latach 1915—1920 armenocyd wzbudził w nich solidarność z częścią ludności ormiańskiego pochodzenia. W latach tych 3 miliony Ormian, czyli 60% narodu, zostało planowo wymordowanych przez Turków. W literaturze polskiej mamy sugestywny opis części ich cierpień w *Przedwiośniu* Stefana Żeromskiego. To ormianobójstwo oraz inne nieszczęścia, spośród których wspomnę tylko zniweczenie nadziei na odrodzenie państwa armeńskiego, boleśnie odczuli wszyscy Ormianie, także ci polscy. Do Lwowa czy innych miast zawitał niejeden uciekinier z ormiańskich skupisk na Wschodzie.

Rozproszony od stuleci naród ormiański dopóty zachowuje swoją etniczność, dopóki trwa przy swojej wersji chrześcijaństwa. Ormianie w Polsce już dawno stali się katolikami, ale w obrządku ormiańskim. Po I wojnie światowej Lwowska archidiecezja tego obrządku obejmowała parafie: Lwów, Brzeżany, Łysiec, Stanisławów, Tyśmienicę oraz Kutry i Horodenkę. Stolicą archidiecezji był oczywiście Lwów, tu przy ul. Ormiańskiej znajdowała się archikatedra i tu rezydował arcybiskup. Lwów wówczas był w Europie jedynym miastem, gdzie miało swą siedzibę aż trzech arcybiskupów trzech katolickich obrządków: rzymskiego, greckiego i ormiańskiego. Własny obrządek

nie stanowił znaczącej odrębności, dotyczył przede wszystkim liturgii sprawowanej w języku staroormiańskim — grabar, podobnie niezrozumiałym dla ogółu wiernych, jak łacina przed II Soborem Watykańskim. Do tej archidiecezji należało 4—5 tys. osób, do parafii lwowskiej 1200, aczkolwiek w liczbie tej mieszczą się również wierni żyjący poza Małopolską Wschodnią. Można więc szacować, iż Polaków ormiańskiego pochodzenia we Lwowie było mniej niż tysiąc; miasto to w międzywojniu liczyło 238 tys. mieszkańców.

Nad tą małą trzódką od 1902 r. rządy sprawował arcybiskup dr Józef Teodorowicz, wielki książe Kościoła i wybitny polski polityk. Jeszcze za czasów austro-węgierskich zasiadał w Sejmie Galicyjskim i w Izbie Panów w Wiedniu. Podczas wojny zawzięcie bronił kraj, bez względu na religię i narodowość, przed okrucieństwami władz wojskowych. Potem aktywnie uczestniczył w tworzeniu państwowości polskiej oraz w jej obronie, także jako poseł i senator. Arcybiskup Teodorowicz nie zapominał o swoich owcach, dbając nie tylko o ich potrzeby duchowe, lecz również materialne. Kiedy umarł w 1938 r., nie zdążyło już wybrać jego następcy.

Przeszłość sięgająca aż do św. Grzegorza Oświeciciela przypominała wzniesiona w XIV w. katedra. Jest ona cennym zabytkiem wschodniej sztuki sakralnej, unikatowym w tej części Europy. Do świątyni tej odnoszono się z wielkim sentymentem; takie oto uczucia wywoływała w poecie Kajetanie Petrowiczu:

Gdy zadumany rozmyślam na dworze,
pośród praocjów niewidzialnych cieni,
czią mnie przejmuję to mieszkanie Boże
i lice moje wzruszeniem się mieni
i żalem za tym, co wrócić nie może,
a co tym bardziej kocha się i ceni.

Potomkowie przybyszów z Armenii na początku lat trzydziestych założyli Archidiecezjalny Związek Ormian. Skupiał on około 500 osób z całej Polski, jego siedzibą był Lwów (ul. Ormiańska 13). Stanowisko prezesa zajmował Jan Antoniewicz, lecz największym autorytetem cieszył się arcybiskup. Organizacja ta zamierzała realizować następujące cele: „1. Skupienie Ormian i zachowanie obrządku ormiańskiego oraz tworzenie ognisk życia towarzyskiego. 2. Niesienie pomocy moralnej i materialnej, zarówno kościołom ormiańskim, jak i zakładom naukowym, instytucjom społecznym i fundacjom (apolitycznym) oraz poszczególnym członkom. 3. Popieranie misji Ormian działających na Wschodzie i w krajach przez nich zamieszkałych”. Zamierzenia te Związek rzeczywiście realizował, choć ze względu na szczerpłe fundusze nie było to łatwe. W siedzibie Związku Ormian mieściła się redakcja „Posłańca św. Grzegorza”. To interesujące czasopismo, ukazujące się od 1926 r., zamieszczało rewelacyjne wprost publikacje armenistyczne. Wychodzący zaś od 1935 r. organ archidiecezji „Gregoriana” miał charakter pisma kościelnego.

Nieopodal mieścił się klasztor Benedyktynki ormiańskich, istniejący od końca XVII w. Siostry Benedyktynki prowadziły gimnazjum żeńskie na bardzo wysokim poziomie.

Nieco dalej, przy Skarbkowskiej 21, znajdował się Zakład Naukowy im. Józefa Torosiewicza. Była to bursa, w której mieszkała ucząca się we Lwowie ormiańska (choć niekoniecznie) młodzież męska. Zakład ten w 1865 r. ufundował znany filantrop i lekarz Józef Torosiewicz. Po latach tak pisał o nim Tadeusz Petrowicz, jeden z ostatnich jego wychowanków: „lata spędzone w Zakładzie wszyscy jego wychowankowie wspominamy zawsze ciepło i dzisiaj można tylko żałować, że takie placówki już nie istnieją, bo prosperujące obecnie internaty i bursy nie są już w pełni zakładami wychowawczymi. Ten, w którym uczyły się całe pokolenia młodych Ormian, wychowywał młodzież, uczył ją punktualności, koleżeństwa i solidarności”. Drugą podobną placówką otwarto w 1931 r. dzięki Fundacji im. Abrahamowiczów.

Aby wesprzeć materialnie pobierających nauki, urządzano co roku Bal Ormiański. Owa impreza, odbywająca się w salach Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego, należała do największych atrakcji lwowskiego karnawału. Uzyskane z niej pieniądze spożytkowano przede wszystkim na utrzymanie Zakładu Naukowego, na stypendia dla uboższych studentów bądź uczennic gimnazjum Benedyktynki. Tak więc w tej niewielkiej społeczności bardzo dbano o wykształcenie. Wypada nadmienić jeszcze, że Ormianie w omawianym tu okresie założyli we Lwowie dwie biblioteki. Zamiłowanie Ormian do wiedzy należy wręcz do stereotypu tego narodu.

Spółeczność ormiańska dała Polsce wielu wybitnych intelektualistów. Ze znanych w międzywojennym Lwowie wymienię chociażby dwóch armenistów: ks. Bogdana Dawidowicza i ks. Wiktora Piotrowicza, a także Polkę blisko z Ormianami związaną, muzykologa Bronisławę Wójcik-Keuprulian, chirurga i kolekcjonera dzieł sztuki Romana Baracza, filologa Emanuela Roszko, czy literata i dziennikarza Ignacego Nikorowicza.

Ormianie polscy nosili polskie lub spolszczone nazwiska. Spotykało się też osoby o nazwiskach ormiańskich: Keuprulian, Kiermizian, Romaszkan.

W *Mieszaninach obyczajowych* Andrzeja Kuśniewicza czytamy: „wskakujemy niemal w biegu do wagonu klasy drugiej — pierwszą podróżują tylko bogaci kupcy, nuworysze, a z liczących się arcybogaty Ormianin, pan Romaszkan, jeden z dwu braci Romaszkanów — wsiadamy na stacji Lwów-Podzamcze, a nie na Głównym, bo tak szlachetnej”. Bogaty Ormianin to jeden ze stereotypów. Owszem, niegdyś we Lwowie wielu z nich posiadało ogromne majątki. W dwudziestolecie międzywojennym zaś, jak wynika z cytowanego fragmentu, tylko jeden jeździł pierwszą klasą, niemniej jednak zdarzali się zamożni.

Konieczna jest tu uwaga na ormiańskie firmy, jakie prosperowały we Lwowie. Za najszacowniejszą uznawano Publiczny Urząd Zastawniczy „Mons Pius”. Bank ten założono jeszcze w epoce świetności lwowskich Ormian, a w międzywojniu można w nim było lokować kapitały na osiem procent w stosunku rocznym. Istniały trzy apteki: Kajetanowicza, Zerygiowicza i „Pod św. Mikołajem” Sarkisowicza. „Skład perfum, przyborów toaletowych, kosmetyków, artykułów gumowych” prowadził Józef Bohosiewicz. Inny z Bo-

hosiewiczów miał zakład dentystyczny. Do jednego z Romaszkanów należał „Skład korzenny i delikatesów”.

Miasto nad Pełtwią, z tyloma ormiańskimi adresami, dla wiernych obrządku ormiańskokatolickiego w Polsce było jakby stolicą. Ściągano doń z całej Galicji w odwiedziny do krewnych lub znajomych, na uroczystości religijne, po naukę, w interesach bądź na imprezy organizowane przez Archidiecezjalny Związek Ormian. Do stołecznej roli pretendowały Kuty, miasteczko na pograniczu polsko-rumuńskim. W niewielkich Kutach żyło około 500 Ormian, którzy praktykowali jeszcze zapomniane gdzie indziej zwyczaje, a najstarsi mówili nawet jednym z dialektów zachodnio-ormiańskich. Tu miały miejsce słynne odpusty ku czci św. Antoniego, na które przybywało mnóstwo ludzi z kraju i zagranicy, zaszczycał je swą obecnością arcybiskup Teodorowicz. Jednakże centralnym ośrodkiem polskich Ormian mógł być tylko Lwów.

To piękne miasto dla wielu pokoleń imigrantów z Armenii stało się prywatną ojczyzną. Arcybiskup Teodorowicz w kontekście konfliktu polsko-ukraińskiego w 1918 r. stwierdził, że Ukraincom nie wolno było „skrycie i zniecka ugodzić w twierdzę katolickiej i polskiej kultury, jaką był Lwów. Nie wolno nikomu, patrząc na Kościół Mariacki, zawołać: wezmę sobie tę świątynię, gdyż przed wiekami grunt, na którym była wzniesiona, do kogoś z członków mojej rodziny należał. I jak dziś nikt nie sięgnie po Berlin, dlatego iż tam kiedyś słowiańskie były ziemie, tak nikt prawa nie ma sięgać po Lwów dlatego, iż kiedyś Ruś się tu rozciągała”. Słowa te zabrzmiały stanowczo,

aczkolwiek wyraża się w nich żarliwa miłość przywódcy polskich Ormian do tego grodu. Bardziej prywatnie pisał o mieście Ignacy Nikorowicz: „bo ono ma jasnozielone wzgórza stryjskie i ma śliczne makaty kamienne kaplicy Boimów i szczerą, uśmiechniętą bohaterską duszę”.

Polacy we Lwowie w ciągu wieków przyzwyczaili się do ormiańskich współmieszkańców. W międzywojniu, rzecz jasna, nikt już nie pamiętał o niegdysiejszych antagonizmach; Ormianie polscy byli jedynie trochę innymi Polakami, jednak ze względu na swoją przeszłość budzili zaciękanie. To właśnie z inicjatywy lwowskich historyków zorganizowana została w 1932 r. Wystawa Zabytków Ormiańskich, która się później przekształciła w niewielkie muzeum przy katedrze. Lwowskimi armenicami interesował się szczególnie historyk sztuki Tadeusz Mańkowski. Z wyglądającymi nieco kaukasko mieszkańcami Lwowa uczęszczano także do szkoły, przyjaźniono się, kupowano w ich sklepach czy wreszcie spokrewniano się.

Niewątpliwa polskość tych ludzi pozwalała występować im na terenie Lwowa w ramach jednej z trzech głównych konfiguracji społeczno-kulturowych (polskiej, ukraińskiej, żydowskiej), jakie w tym miejscu w sposób różnorodny stykały się ze sobą. Polaków we Lwowie jako część narodu w swoim państwie cechowało pewne bogactwo pozwalające im zajmować dominującą pozycję wobec Ukraińców i Żydów czy to w konfliktach, czy w akcjach dla dobra wszystkich obywateli. Na owo bogactwo składały się m.in. wartości wniesione przez Ormian.

Wystawa pamiątek kresowych w Arsenale miejskim (Wrocław, maj 1990—marzec 1991)

Ile bezcennych pamiątek, dokumentów, dzieł sztuki kryją jeszcze domy rodzin pochodzących z Małopolski Wschodniej, przekonała nas właśnie wystawa zorganizowana dzięki staraniom kierownika tej placówki pani T. Zielińskiej. Mimo braku odpowiedniego „nagłośnienia” przez radio, prasę i TV, liczna była frekwencja, bardzo żywe zainteresowanie nie tylko pokolenia starszego, dojrzałego, ale i młodzieży. Wystawa w Arsenale uplastyczniła krajobraz kulturalny, naukowy, religijny, artystyczny Małopolski Wschodniej z centralną funkcją Lwowa, z legendą obrony miasta i kresów. Wystawa dokumentowała jednoznacznie, że był to obszar

integralnie związany z Europą. Jaka szkoda, że nikt z dziennikarzy TV we Wrocławiu nie pokusił się o zrobienie jakiegoś reportażu, a były na tej ekspozycji nawet „rarytasy”, jak choćby XVII-wieczny miedzioryt z widokiem Lwowa według rysunku Aurelego Passarotiego, jaki zamieszczony został w dziele *Civitates orbis terrarum*, wydrukowanym w Kolonii w 1618 r.

Czy nie nadszedł czas, by dla nas i dla potomności zacząć działania, mające na celu powołanie Muzeum Kresów Wschodnich we Wrocławiu?

Krystyna Roszek-Masiak

Pro memoria Wielkiego Generała

28 lutego 1991 r. minęła setna rocznica urodzin we Lwowie gen. bryg. dra Romana Abrahama. Zaprawdę trudno w krótkim zarysie przedstawić sylwetkę tego niezwykle dla Polski zasłużonego Człowieka. Ojciec Jego — Władysław był rektorem i znanym profesorem prawa polskiego i kanonicznego Uniwersytetu we Lwowie.

Patriotyczna tradycja lwowskiego domu wywarła wielki wpływ na młodego Romana, który po ukończeniu Gimnazjum oo. Jezuitów w Bąkowicach koło Chyrowa wstąpił na Wydział Filozofii i Prawa Uniwersytetu Lwowskiego. W czasie studiów związał się z niepodległościowymi organizacjami: Związkiem Młodzieży Narodowej „Zet”, z Drużynami Bartoszewskimi i Drużynami Strzeleckimi. Studia ukończył w 1919 r. stopniem doktora praw i umiejętności politycznych.

Z chwilą wybuchu I wojny światowej przymusowo zostaje wcielony do armii austriackiej, gdzie jako oficer kawalerii walczy na froncie francuskim, rumuńskim, rosyjskim, serbskim i włoskim. W listopadowej Obronie Lwowa staje na czele oddziału własnego imienia w najbardziej zagrożonym sektorze — Górze Stracenia. Jego to podkomendny 13-letni Antoni Petrykiewicz, śmiertelnie ranny na Persenkówce, jest do dnia dzisiejszego najmłodszym kawalerem Krzyża Virtuti Militari. 22 XI 1918 r. oddział „Stracenców” z por. Abrahamem na czele zajmuje Ratusz lwowski, zawieszając na wieży polską flagę. Od 1 VIII 1919 r. jest dowódcą samodzielnego batalionu, a następnie pułku i podgrupy operacyjnej dywizji dowodzonej przez gen. Władysława Sikorskiego; odznacza się szczególnie w walkach pod Gródkiem Jagiellońskim. Przez pewien czas służy w III Dywizjonie 59 Eskadry Lotniczej we Lwowie, ale już od 1 VII 1920 r. jako major kawalerii dowodzi grupą operacyjną MOAO (Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej) w Małopolsce Wschodniej. W tym okresie zostaje czterokrotnie ranny. W 1921 r. początkowo służy w 14 p. Ułanów Jazłowieckich, a następnie z polecenia Naczelnego Dowództwa pod nazwiskiem Romana Wydery organizuje pomoc dla III powstania śląskiego przy komisarzu plebiscytowym Wojciechu Korfantym, biorąc czynny udział w walkach.

W 1922 r. kończy I kurs doszkolenia w Szkole Sztabu Generalnego (zwanej później Wyższą Szkołą Wojenną). Następnie w randze podpułkownika Sztabu Generalnego zostaje najpierw asystentem, a potem kierownikiem Katedry Taktyki Ogólnej, pełniąc tę funkcję przez lata. W 1927 r. zostaje dowódcą 26 pułku Ułanów im. Karola Chodkiewicza w Baranowiczach. 1 I 1928 r. otrzymuje awans na pułkownika dyplomowanego. W marcu 1929 r. zostaje dowódcą Brygady Kawalerii „Toruń”. W połowie 1932 r. skierowany zostaje do Centrum Wyższych Studiów Wojskowych w War-

szawie. Od sierpnia 1933 do kwietnia 1937 r. jest dowódcą Brygady Kawalerii „Bydgoszcz”, a następnie Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. 19 marca 1938 r. zostaje mianowany generałem brygady.

Na początku wojny w 1939 r. gen. Abraham dowodzi Wielkopolską Brygadą Kawalerii wchodzącą w skład Armii „Poznań”. Jego jednostki: 55 pułk piechoty i 17 pułk Ułanów Wielkopolskich, biorąc odwet, przekraczają granicę niemiecką pod Wschową. Jednak dalsze losy wojny nakazywały odwrót w kierunku Warszawy. W czasie tego odwrotu Brygada toczy zwycięskie walki pod Walewicami, Bielawami i Głownem. Po bitwie nad Bzurą 16 września generał obejmuje dowództwo nad Grupą Operacyjną Kawalerii swojego imienia, złożoną z Wielkopolskiej i Podolskiej Brygady Kawalerii.

W zaciętych walkach, m.in. po słynnej szarży 14 pułku Ułanów Jazłowieckich pod Wólką Węglową, Generał doprowadza siły armii Poznań do oblężonej Warszawy. W czasie przebijania się do stolicy zostaje ranny i następnie umieszczony w Szpitalu Ujazdowskim. 15 X 1939 r. zostaje aresztowany przez Niemców pod pretekstem likwidacji dywersantów i szpiegów niemieckich w Lesznie. Początkowo przebywa w Cytadeli w Poznaniu, następnie w obozach jenieckich w Krotoszynie, Königstein, Johannisbrunn VIII i Murnau VIIA. Nie udaje się ucieczka Generała z obozu jenieckiego, planowana wspólnie z gen. Rómmlem i gen. Sadowskim-Jagminem.

W grudniu 1945 r. wraca do kraju i podejmuje pracę w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Jednocześnie poświęca się sprawie udokumento-



Uroczystość złożenia Orderu Virtuti Militari jako votum na Jasnej Górze 3 V 1976 r.
Od lewej: płk Stanisław Ojrzyński, gen. M. Boruta-Spiechowicz, gen. R. Abraham, kapelan AK o. Eustachy Rakoczy (Zakon Paulinów) oraz płk Stanisław Leszczycki-Przywara

wania przebiegu walk wrześniowych w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” i na łamach prasy, wygłasza również wiele odczytów. Jego *Wspomnienia wojenne z nad Warty i Bzury* są cennym materiałem źródłowym o wrześniu 1939 r.

Oprócz działalności „oficjalnej” Generał zainicjował tzw. „Drugą Obronę Lwowa” — tym akcją „Utrwalania Pamięci Narodowej”. W działaniach tych brało udział wiele osób, m.in.: przedstawiciele hierarchii Kościoła z Prymasem Polski ks. Stefanem kardynałem Wyszyńskim, ks. Karolem kardynałem Wojtyłą i ks. Władysławem kardynałem Rubinem na czele, a także kapelanami: ks. płk. Adamem Studzińskim i ks. Eustachym Rakoczym z zakonu Paulinów na Jasnej Górze, kapelanem AK.

Razem z Generałem pracował gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Wśród grona osób współpra-

cujących w „Drugiej Obronie Lwowa” należy wymienić red. Danutę Łomaczewską, prof. Leona Machowskiego, obrońcę Lwowa inż. Aleksandra Mazurkiewicza, prof. Tadeusza Włodka z Kanady i red. Wojciecha Ziębińskiego (o innych osobach, niestety, nie miałem informacji).

Gen. bryg. dr Roman Abraham był kawalerem Złotego i Srebrnego Krzyża *Virtuti Militari*, był odznaczony Medalem *Pro Fide et Patria*, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski Krzyżem Niepodległości z Mieczami, czterokrotnie Krzyżem *Walecznych*, Krzyżem *Obrony Lwowa*, francuską Legią Honorową z *Wawrzynem*, belgijskim Orderem Leopolda oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Zmarł w Warszawie 26 sierpnia 1976 r. Został pochowany obok swej Matki na cmentarzu we Wrześni.

ANTONI KUCZYŃSKI

Bronisław Piłsudski — wieczny tułacz

Gdy w 1918 r. nurty Sekwany pochłonęły bohatera tego eseju, w niedługim czasie po tym tragicznym wydarzeniu ówczesny dyrektor Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem Juliusz Zborowski rozpoczął gromadzenie relacji wspomnieniowych o Bronisławie Piłsudskim. Badacz ten przez pewien czas mieszkał we Lwowie przy ul. Tureckiej 3, a swe prace etnograficzne publikował w wychodzącym we Lwowie czasopiśmie „Lud”, organie wydawniczym Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, którego redaktorem naczelnym był Adam Fischer, późniejszy profesor etnografii w Uniwersytecie Jana Kazimierza. Utrzymywał także kontakty z Benedyktem Dybowskim, znakomitym badaczem Syberii, i często gościł u niego w tzw. Białym Dworcu przy ul. Zaścianek 11. Dybowski, od 1884 r. profesor w Uniwersytecie Lwowskim, miał wielki szacunek dla Bronisława Piłsudskiego, który przybył do Galicji w 1906 r. z dalekiego Sachalinu. We wspomnianej już relacji przesłanej Zborowskiemu do Zakopanego pisał: „gdy przyjechał p. Bronisław do kraju i na jakiś czas przeniósł się do Lwowa, tu zamieszkał ze swoją małżonką — poznałem go osobiście. Snuliśmy wspólnie różne projekty — atoli choroba żony i konieczność wyjazdu do Paryża, gdzie miała być wykonana operacja, stanęła projektem na przeszkodzie. Po śmierci żony nie wrócił p. Bronisław na stały pobyt do Lwowa, przyjeżdżał tylko w interesach, krótko bawił, głównie czynności swoje zwrócił w strony zakopiańskie”.

Ci obaj badacze Syberii, których osiągnięcia naukowe miały zesłańczy rodowód, cenieni są do dziś w historii badań tej krainy, mimo iż los ich po powrocie do kraju był różny. Dybowski został

profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, był członkiem rzeczywistym Akademii Umiejętności w Krakowie, sprawował funkcję dziekana i prodziekana Wydziału Filozoficznego tego Uniwersytetu, a w 1900 r. wybrano go na rektora tej uczelni, której to godności nie przyjął. Otrzymał doktoraty honoris causa Uniwersytetów Jana Kazimierza we Lwowie i Stefana Batorego w Wilnie, a także honorowe członkostwo Akademii Nauk Leńskich w Warszawie oraz wiele innych godności, łącznie z wyborem na członka korespondenta Akademii Nauk ZSRR (1928). Z rekomendacji Bronisława Piłsudskiego nadano mu także członkostwo honorowe Towarzystwa Amurskiego we Władywostoku, a nauka carskiej Rosji nobilitowała go po wielokroć tytułami honorowymi oraz różnymi medalami.

Losy Bronisława Piłsudskiego potoczyły się inaczej. Kim był ów wieczny tułacz, o którym powojenne wydania encyklopedii krajowych zupełnie zapomniały, i dopiero w ciągu ostatnich lat jego wkład w badania etnograficzne ludów Sachalinu pełniej rezonuje w krajowej nauce, a także w szerokim świecie. Urodził się w 1866 r. w Zułowie na Litwie. Gdy pożar strawił dwór, rodzina Piłsudskich przeniosła się do Wilna. Tu uczył się wraz z bratem Józefem w gimnazjum. Był organizatorem patriotycznego kółka samokształceniowego „Spójnia”. Z nakazu policji zaprzestano ono działalności, a Bronisław, obowiązuje się szykan władz szkolnych, wyjechał do Petersburga, gdzie ukończył gimnazjum i wstąpił na wydział prawny miejscowego uniwersytetu. Studiował zaledwie parę miesięcy; zamieszany w spisek na życie cara Aleksandra III został posta-

wiony przed sądem i skazany na karę śmierci, zamienioną później na 15 lat katorgi na Sachalinie. Pięć z orzeczonych wówczas wyroków śmierci zostało wykonanych w tym również na inicjatorze spisku Aleksandrze Uljanowie, rodzonym bracie Lenina. Przeprowadzone dochodzenie wykazało, że Józef Piłsudski nie brał bezpośredniego udziału w tych zamierzeniach terrorystycznych, jednak profilaktycznie zesłano go na 5 lat w głąb Syberii Wschodniej, do Kireńska. Bronisław natomiast skierowany został na katorżniczą wyspę Sachalin, dokąd kierowano przede wszystkim wszelkiej kategorii kryminalistów. Z czasem, gdy ruch rewolucyjny w Rosji nabierał mocy i walka z carskim samodzierżawiem przynosiła pewne sukcesy, targając spokojem najwyższych władz tajnej policji, tzw. ochrany, podjęto decyzję, by szczególnie wyróżniających się rewolucjonistów kierować na Sachalin, gdzie orzeczona wobec nich kara była wielokrotnie przez codzienny pobyt wśród złoczyńców. Kierowano tam również Polaków, m.in. 17 członków PPS „Proletariat”.

Bronisława Piłsudskiego odprawiono na Sachalin z Odessy latem 1887 r. na statku „Niżnij Nowgorod”, przystosowanym do przewozu więźniów, należącym do Rosyjskiej Floty Ochotniczej. Było to w istocie pływające więzienie. Na statku panowały surowe rygory, upał i okropne warunki higieniczne, a awantury wybuchające między więźniami czyniły tę podróż pasmem koszmarnych przeżyć. 9 VIII statek przybył do portu w Aleksandrowsku na Sachalinie, skąd pieszo kolumna zesłańców powędrowało do wsi Rykowskoje. W niej bowiem była katorżnicza osada, a przebywający tam więźniowie pracowali przy wyrębie lasu. Sam Bronisław niewiele napisał o swym katorżniczym życiu, chociaż wiemy, iż w Rykowskoje — czego dowodzą zachowane zapiski — pospołu z innymi więźniami rąbał las. Katorżniczy los odmierzały upływające powoli lata, w których ważniejszymi wydarzeniami były więzienne awantury i morderstwa. Znakomity pisarz rosyjski, Antoni Czechow, do którego dotarła zła sława sachalińskiej katorgi, udał się tam, by naocznie przekonać się o warunkach życia skazanych. Obraz ten zawarł w książce *Sachalin*, w której jest także opis rykowskiej katorgi, gdzie panował moralny i obyczajowy upadek ludzi i bezwzględna samowola carskich nadzorców.

W otoczeniu tym przebywał B. Piłsudski co najmniej do 1892 r., a że był jednym z nielicznych zesłańców posiadających wykształcenie, starano się wykorzystać jego wiedzę, powierzając mu nauczanie dzieci w domach miejscowych urzędników, zajęcia w kancelarii więziennej, obserwacje meteorologiczne itp. W 1894 r. przeniesiono go do Aleksandrowska, gdzie jak na katorżnika miał względnie poprawne warunki bytu. Wspominał o tym po latach w rozmowie z Wacławem Sieroszewskim, informując iż „Po kilku latach więzennego życia, przymusowej pracy fizycznej, zyskałem nieco swobody: spełniałem obowiązkowo różne czynności biurowe, prowadziłem spostrzeżenia meteorologiczne, gromadziłem zbiory przyrodnicze do miejscowego muzeum, urządziłem bibliotekę dla okręgu [...] dawałem lekcje”. Zajął się też badaniem kultury tubylców sachalińskich, w pierw-

szym okresie zesłania przede wszystkim Niwchów i Oroków, później Ajnów. „Obcowanie z nimi pociągało mnie, z początku tylko dlatego, że było to jedyne na całej wyspie środowisko moralnie nie zepsute. Zbliżyłem się do tych ludzi wymierających i krzywdzonych, żeby odetchnąć wśród nich lepszym powietrzem i nieść im pomoc”. Z tej opieki i przyjaźni bierze swój początek wielka atencja, jaką żywili wobec niego tubylcy, a jeden z rodów przyznał mu godność „starszego brata”.

Obcowanie z rdzenną ludnością Sachalinu przekształciło się wkrótce w stałe zajęcie, któremu poświęcał Piłsudski każdą wolną chwilę. Na zlecenie władz gromadził materiały do mającego powstać muzeum historycznego w Aleksandrowsku. Zadanie to wykonał bardzo dobrze, otrzymał nawet oficjalnie podziękowanie od gubernatora wojaskowego wyspy. Odwiedził wówczas wiele tubylczych osad i w każdej witany był z radością, a żegnany ze smutkiem. Uczył tubylców zasad higieny, uprawy warzyw i nowych sposobów konserwacji ryb. Dbał o to, aby carscy czynownicy nie zdzierali z nich nieuzasadnionych danin, i wielokrotnie występował w obronie aborygenów. Swoją troskę o ich byt zawarł w pracy *Nużdy i potrzeby sachalińskich Giljaków* [Nędza i potrzeby sachalińskich Giljaków], opublikowaną w 1898 r. we Władyswostoku, a po latach napisał także inne prace obrazujące kulturę tego ludu. W pierwszym okresie zesłania prowadził także obserwacje meteorologiczne, a z czasem był jakoby organizatorem służby „meteo” na Sachalinie, projektował i nadzorował budowę stacji obserwacyjnych, np. w Korsakowsku. Zachowane rękopisy zaświadczenia jednoznacznie, że był on nie tylko obserwatorem, ale koordynatorem badań meteorologicznych na Sachalinie, z wyzyskaniem wyników do praktyki rolniczej i ogrodniczej.

Wieloraka aktywność B. Piłsudskiego zwracała na niego uwagę miejscowych władz oraz różnych środowisk spoza wyspy. W 1899 r. dzięki staraniom Towarzystwa Badań Kraju Amurskiego zaproponowano mu stanowisko konserwatora we władyswostockim muzeum. Przebywał tam do lipca 1902 r., zajmując się systematyzowaniem zbiorów zgromadzonych na Sachalinie. Muzeum temu przekazał swój sachaliński zielnik oraz ponad 200 eksponatów etnograficznych odnoszących się przede wszystkim do kultury Niwchów. Przygotował także specjalną kolekcję etnograficzną z Sachalinu na światową wystawę w Paryżu w 1900 r.; kolekcja ta budziła zachwyt i została nagrodzona medalem.

Opiekował się biblioteką, sporządzał karty katalogowe zabytków, współpracował z miejscowym dziennikiem statystycznym itd. Do dzisiaj zachowały się we Władyswostoku ślady tej działalności. Mogłem je obejrzeć podczas pobytu tam jesienią 1990 r., stwierdzając zarazem, że ten okres życia Bronisława Piłsudskiego wart jest pełniejszego opisanie. Wiele materiałów na ten temat kryją opasłe teki zgromadzone w Archiwum Naukowym Oddziału Towarzystwa Geograficznego, mieszczącego się w tym samym budynku, w którym prawie sto lat temu pracował nasz rodak.

Gdy władyswostocki okres pracy w muzeum potwierdził raz jeszcze wielką kompetencję tego ba-

dacza w etnograficznej tematyce dalekowschodniej, zaproponowano mu ponowny wyjazd na Sachalin w celu przeprowadzenia pełniejszych badań nad kulturą Ajnów. Udał się tam chętnie w 1902 r. i z wielką energią przystąpił do wykonywania zleconych mu zadań. Odwiedził wówczas wiele wsi ajnuskich, gromadząc o ich kulturze materialnej, społecznej i duchowej unikatowy materiał w postaci zapisów terenowych, nagrań fonograficznych, fotografii i eksponatów. Ogłosił wiele prac o ajnuskiej kulturze, które do dzisiaj nie straciły swej wartości naukowej, bo są często jedynymi opracowaniami odnoszącymi się do określonych segmentów tej kultury. Na zlecenie gubernatora wojskowego Sachalinu opracował raport o stanie gospodarczym i kulturowym Ajnów i wskazał drogi mające chronić ten lud przed destruktywnym wpływem kolonizatorów. Był inicjatorem osiedlowych szkół dla Ajnów, w wielu z nich prowadząc zajęcia. Miał wśród Ajnów wielu przyjaciół, którzy powierzali mu najskrytsze tajemnice swej kultury, zwłaszcza w obrębie wierzeń. Ożenił się nawet z piękną Ajnuską z osady Ai-kotan, z którą miał dwoje dzieci — syna Sukezo i córkę Kiyō. W jej domu znajdował czas na odpoczynek po trudnych marszach do oddalonych ajnuskich osad. Gdy w 1905 r. opuszczał Sachalin, chciał zabrać żonę i syna, córka bowiem urodziła się już po opuszczeniu przez niego wyspy. Napotkał jednak na zdecydowany opór rodziny małżonki. Opuścił więc swych najbliższych, których już nigdy nie zobaczył. Dodajmy, iż obecnie mieszka w Japonii wnuk Bronisława Piłsudskiego, a saga tej rodziny jest pełna interesujących wydarzeń.

Z Sachalinu udał się B. Piłsudski do Władywostoku, odwiedził też Japonię, gdzie przebywał przez osiem miesięcy. Tam zaprzyjaźnił się z pisarzem Shimei Futabatei, z którym snuł plany na rzecz polsko-japońskiego zbliżenia. Poznał wówczas także osobistości z grona socjalizujących stowarzyszeń. Nawiązał kontakty z antropologami japońskimi zajmującymi się studiami ajnologicznymi. Stąd przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej udał się do Europy i w 1906 r. przybył do Galicji. Do kraju przywiózł bogate zbiory różnych materiałów dotyczące kultury tubylców Sachalinu. Miał nadzieję, że będzie mógł poświęcić się tutaj opracowaniu tego zespołu. Udało mu się to uczynić zaledwie w niewielkim stopniu. Opublikował m.in. swą monumentalną pracę o folklorze Ajnów *Material for the Study of the Ainu Language and Folklore* (1912), a także parę artykułów w pismach etnograficznych i popularnonaukowych, zarówno w Polsce, jak i za granicą (Francja, Niemcy, Szwajcaria, USA).

Nadzieja na spokojne życie, z jaką powracał do kraju, nie spełniła się. Nie mógł uzyskać stałego zatrudnienia w placówkach naukowych, gdyż nie posiadał wykształcenia uniwersyteckiego. Starał się je uzupełnić, wyjeżdżając za granicę, nigdy jednak powziętych zamierzeń nie doprowadził do urealnienia. W kraju ożenił się z bliżej nie znaną Marią Żarnowską. Sprawa ta pozostaje do dzisiaj biograficzną zagadką. Mimo żmudnych poszukiwań nie udało się jej wyjaśnić! I jest dziwnym paradoksem fakt, iż więcej obecnie wiemy o ajnu-

skiej rodzinie Bronisława aniżeli o jego polskiej małżonce i jej rodzinie. Może za przyczyną tego artykułu zrodzi się nowy ślad, który posłuży do rozwiązania tej zagadki?

Powróćmy jednak do zasadniczego wątku — naukowej biografii Bronisława. Mimo trudności finansowych podejmował on wielorakie przedsięwzięcia naukowe i organizacyjne. Od 1908 r. związał się z zakopiańskim środowiskiem intelektualnym. Założył Sekcję Ludoznawczą przy Towarzystwie Tatrzańskim, którą kierował, integrując prace badawcze nad kulturą ludu Podhala. Sam wiele razy wyruszał na długie wędrówki po wsiach góralskich na Podhalu, Orawie, Spiszu i Słowacji. Był inicjatorem pisma regionalnego „Rocznik Podhalański”, położył także duże zasługi na rzecz nowej formuły organizacyjnej Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. W Krakowie pracował przez jakiś czas jako sekretarz Sekcji Etnograficznej Komisji Antropologicznej Polskiej Akademii Umiejętności, będąc zawsze czynnym, pełnym pomysłów i organizatorskiej inwencji.

Wybuch pierwszej wojny światowej zmusił go do opuszczenia Galicji — ciągle był poddany rosyjskim, a jego wyjazd z Rosji był nielegalny. Chcąc uniknąć ewentualnego aresztowania przez Rosjan bądź internowania przez Austriaków, udał się przez Wiedeń do Szwajcarii. Uczestniczył tam w różnych przedsięwzięciach na rzecz propagowania sprawy polskiej, które później kontynuował w Paryżu, pracując w Komitecie Narodowym Polskim. Przeżycia katorżnicze, nienajlepsze zdrowie i ciągle rozterki doprowadziły jego organizm do wielkiego psychicznego wyczerpania. 17 V 1918 r. utonął w wodach Sekwany, a policja francuska uznała tę śmierć za samobójstwo, jakkolwiek nie wyjaśniła jego przyczyny. Pochowany został na cmentarzu Montmorency. Tam spoczywa do dziś.

Mijały lata. Międzywojenna Polska, zainteresowana budowaniem bytu narodowego, zadbała w pewnym stopniu o spuściznę po Bronisławie Piłsudskim. Zgromadzono ją przede wszystkim w Instytucie Wschodnim w Warszawie, którego zbiory spłonęły już na początku wojny. Po wojnie natomiast, gdy anatema spadła na postać Marszałka Józefa Piłsudskiego, rozciągnęła się także ona na jego brata Bronisława, jak również na całą rodzinę Piłsudskich. Powoli jednak wraz ze zmianą sytuacji w kraju odkrywano zasługi Bronisława w badaniach nad ludami Dalekiego Wschodu. Nadal jednak jego osiągnięcia badawcze słabo rezonowały w krajowych naukach humanistycznych. Trzeba było okrężnych dróg, by w dalekiej Japonii zawiązać Międzynarodowy Komitet do Ocalenia Spuścizny Naukowej Bronisława Piłsudskiego (1981), koordynowany przez Narodowe Muzeum Etnologii w Osace we współpracy z Instytutem Studiów nad Kulturami Ludów Północy Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Była to druga próba zainteresowania japońskiej nauki ajnologicznymi badaniami naszego rodaka, której urealnienie zawdzięczać należy językoznawcy Alfredowi Majewiczowi z Poznania i etnologowi Kochi Inoue z Uniwersytetu Hokkaido w Sapporo.

Pierwszą próbę, która nie powiodła się, podjąłem podczas pobytu w Japonii w 1971 r., włączając w tę sprawę japońskich uczonych w osobach

Masanari Kobayashi, Akyioshi Nakayama i Sci-chiro Murayama. Z inicjatywy wspomnianego Komitetu odbyło się w 1985 r. międzynarodowe sympozjum w Sapporo, poświęcone recepcji studiów etnologicznych Bronisława Piłsudskiego w nauce światowej, ze szczególnym uwzględnieniem ajnuskiego folkloru, zarejestrowanego przez prawie sto lat temu na woskowo-kauczukowych walcach fonograficznych, z których udało się specjalistom japońskim przy zastosowaniu techniki laserowej przekopiować i odczytać nagraną na nich twórczość folklorystyczną Ajnów. Ów Komitet

przygotował także projekt wydania *Dzieł zebranych* Bronisława Piłsudskiego, który acz z wielkim trudem, jest realizowany dzięki wielkiej zapobiegliwości uczonych z Polski i Japonii.

Autor artykułu przygotowuje monografię biograficzną Bronisława Piłsudskiego. Zwraca się do Szanownych Czytelników z prośbą o wyjaśnienie spraw związanych z tą postacią, które wzbogacą treść książki. Korespondencję prosimy kierować pod adresem: Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, ul. Pocztowa 9, Wrocław.

LESŁAW FLIS

Ksiądz Zygmunt Gorazdowski i jego dzieło

Do zasłużonych postaci kresowych należy ks. Zygmunt Gorazdowski, który na przełomie XIX i XX w. rozwinął godną podziwu działalność charytatywną, opiekuńczą i wychowawczą. Był też inicjatorem i założycielem Zgromadzenia Sióstr Św. Józefa — jedyne powstałego we Lwowie zgromadzenia zakonnego.

Ksiądz Zygmunt Prawdzic Gorazdowski urodził się 1 XI 1845 r. w Sanoku. Wychowany został w rodzinie zubożałej szlachty, w atmosferze religijno-patriotycznych tradycji i wielkiej wrażliwości na ówczesne problemy społeczne.

Edukację podstawową i gimnazjum ukończył w Przemyślu. W 1863 r. uciekł po kryjomu z domu i przedostał się do oddziałów Powstania Styczniowego. Po upadku Powstania podjął studia prawnicze na lwowskim Uniwersytecie, ale w 1865 r. przerwał je, by wybrać stan kapłański. W trakcie nauki w seminarium często chorował, tak więc święcenia kapłańskie otrzymał dopiero w 1871 r. W ciężkiej chorobie złożył akt poświęcenia swego życia dla dobra bliźnich. W realizacji obietnicy okazał się bardzo konsekwentny. Jako młody kapłan wszedł w świat cierpiących, by ulżyć ich niedoli. Nędzy ludzkiej nigdy nie omijał obojętnie.

Już pierwszymi posługami w parafiach w Tartakowie k. Sokala i Wojniłowie k. Kałusza dawał świadectwo dotrzymywania złożonej Bogu obietnicy. Pomoc nędzarzom, walka z pijaństwem i grzechem, zjednywanie sobie dzieci zapisały się najmocniej w okresie tartakowskim. W Wojniłowie natrafił na epidemii cholery. Tu dostarczał leki, udzielał pomocy, krzepił umierających Ciałem Pańskim, a gdy trzeba było, sam wkładał ciała do trumien, wywoził i grzebał.

Od 1875 r. rozwijał bogatą działalność katechetyczną, opracował i wydał w kilku wersjach katechizm dla ludu, rady i przestrogi dla młodzieży oraz pedagogikę chrześcijańską dla rodziców i wychowawców. W latach 1876—1877 pracował w parafiach w Gródku Jagiellońskim i Żydaczowie, w 1877 r. w kościołach Św. Marcina i Matki Bożej Śnieżnej we Lwowie, a później, przez wiele lat, w parafii Św. Mikołaja we Lwowie. Z inicjatywy ks. Gorazdowskiego w 1879 r. powstało we Lwowie zrzeszenie kapłanów diecezjalnych w formie Towarzystwa „Bonus Pastor”. Kapłani, zrzeszeni w Towarzystwie, mieli sobie pomagać w utrzymywaniu i pomnażaniu ducha kapłańskiego i życia Bożego.

W 1882 r. ksiądz Gorazdowski został sekretarzem Towarzystwa Miłosierdzia i zainicjował założenie „Domu pracy dobrowolnej dla żebraków”. Pod jego okiem „Dom” tak się rozwinął, że w pierwszych latach XX w. stał się prawie samowystarczalną instytucją z własną piekarnią, gospodarstwem mlecznym, ogrodnictwem, pralnią i szwalnią. Wśród wielu wykonywanych zajęć mieszkańcy „Domu pracy” zajmowali się od 1907 r. utrzymywaniem porządku i opiekowali się grobami na cmentarzu Łyczakowskim.

Zakładając „Dom pracy”, włączył ks. Gorazdowski do służby biednym kilka sióstr Tercjarek. W 1884 r. pięć sióstr, po odbyciu nowicjatu w lwowskim klasztorze Sióstr Franciszkanek od Najświętszego Sakramentu, utworzyło nową rodzinę zakonną, która za swego patrona wybrała św. Józefa. W 1900 r. Zgromadzenie otrzymało błogosławieństwo Ojca Św., a 1 IV 1910 r. Stolica Apostolska dokonała jego kanonicznego zatwierdzenia.

Zgromadzenie wchodziło w świat ludzkiego bólu i poniewierki pracą we wspomnianym „Domu pracy” oraz w zorganizowanym przez ks. Gorazdowskiego we Lwowie w 1884 r. Zakładzie Św. Józefa dla nieuleczalnie chorych. Od 1882 r. siostry Józefitki pracowały w „Taniej kuchni ludowej”, również dzieła ks. Gorazdowskiego. Od 1892 r. prowadziły Zakład Dzieciątka Jezus dla porzuconych dzieci i samotnych matek z dziećmi.

W 1902 r. ks. Gorazdowski został mianowany proboszczem parafii Św. Mikołaja we Lwowie. Szybko dokonał gruntownej restauracji kościoła i plebanii. W tej parafii działał owocnie do 1913 r. Od 1914 r. zamieszkał u sióstr Św. Józefa na ul. Kurkowej we Lwowie i tutaj zmarł 1 stycznia 1920 r.

Otwarte serce i wyciągnięta dłoń do wszystkich potrzebujących nie przesłaniały ks. Gorazdowskiemu trzeźwego spojrzenia na sprawy narodowościowe występujące w Galicji. Pisał w „Gazecie Codziennej” (nr 1415 z 24 XII 1911): „Lichymi jesteśmy psychologami, jeżeli tego nie wiemy, że miłość nie może być ani uproszczona i przymuszona, ale musi być dobrowolną, a my prosiliśmy Rusinów o miłość i prośby te musiały wywołać w ich sercach tylko lekceważenie i pogardę względem nas — a wbijały ich w zarozumiałość, że ich miłość musi być przecież bardzo cenną, skoro się o nią Polacy tak ubiegają i takie ofiary ponoszą chętnie aby ją tylko zyskać [...]”.

Ustępstwa wszelkie, które Polacy robili Rusinom od roku 1848 aż dotąd, były ciężką krzywdą dla narodu naszego, a nie przybliżyły zgody, lecz oddaliły od nas Rusinów tak dalece, że każdy inny naród na świecie jest im miłszy, jak nasz polski, gdyż nieustannie starają się o to wszystko, co by nas mogło od nich oddalić, a unikają wszystkiego, co by nas mogło połączyć”.

Największe dzieło życia ks. Gorazdowskiego, zwanego „księdzem dziadów”, wydało obfite owoce. W roku śmierci założyciela siostry Św. Józefa prowadziły już działalność w 16 placówkach w Małopolsce Wschodniej. Do 1939 r. otwarto 10 nowych domów w diecezji chełmińskiej. Siostry pracowały przed wybuchem wojny także w diece-

zjach: przemyskiej, tarnowskiej, łuckiej, pińskiej, łomżyńskiej, sandomierskiej, częstochowskiej i lubelskiej. Posługę pielęgniarską sprawowały siostry ochotniczo w czasie I wojny światowej. Do 1939 r. pracowały w 8 szpitalach, dając wszędzie dowody ofiarnej postawy. W okresie międzywojennym prowadziły liczne ochronki, sierocińce, kolonie i półkolonie, szkoły ludowe, kursy dla analfabetów, kursy z zakresu robót kobiecych i gospodarstwa domowego. Na uwagę zasługuje prowadzenie we Lwowie zakładu dla 120 głuchoniemych dzieci.

II wojna światowa znacznie uszczupliła józefińskie szeregi. Z 45 placówek zostało 11. Około 200 sióstr wysiedlono z ich domów, wiele poniosło męczeńską śmierć. W 1946 r. siostry Św. Józefa utraciły swój dom macierzysty we Lwowie oraz wszystkie placówki na Kresach.

Ziarno zasiane przez ks. Gorazdowskiego rosło i owocowało obficie w okresie powojennym. Siostry organizowały nowe placówki na odzyskanych ziemiach. Dom Generalny przeniesiono do Tarnowa. Pomimo trudnego okresu, kiedy usunięto je z przedszkoli, szpitali, wielu zakładów dla starców czy dzieci, siostry podjęły pracę z dziećmi kalekimi i niedorozwiniętymi, posługę pielęgniarską w szpitalach psychiatrycznych, a także pracę parafialną i katechetyczną. W latach siedemdziesiątych siostry rozpoczęły pracę misyjną w Afryce, w latach osiemdziesiątych w Ameryce Południowej.

29 VI 1989 r. rozpoczął się w Lubaczowie proces beatyfikacyjny ks. Zygmunta Gorazdowskiego. Z tej okazji w liście biskupa Mariana Jaworskiego do wiernych archidiecezji lwowskiej można było przeczytać: „Postać lwowskiego «księdza dziadów» odkrywa niezwykle bogactwo kapłańskiej solidarności z ubogimi i bohaterskiej samarytańskiej służby najuboższym, podjętej ze względu na Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelię”. Arcybiskup Jerzy Ablewicz w kazaniu wygłoszonym w czasie Mszy Św. powiedział m.in. „Wpatrzeni w tę postać zanurzamy się jeszcze raz w to dziedzictwo nasze polskie, które tworzyli ludzie tej miary, co ks. Zygmunt Gorazdowski”.



DIASPORA MAŁOPOLSKA

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

Lekarz „polskiego Londynu”

Częstokroć wracam do znakomitego w pomysłach filmu Krzysztofa Kieślowskiego „Przypadek”, ukazującego sugestywnie, jak zbieg okoliczności kształtuje człowieczy los. Jak przypadkowo w pewnym czasie historycznym przecinające się drogi życiowe nie znających się do tego momentu ludzi wpływają na kreacje ich przyjaźni, miłości bądź niechęci i wrogości. Doświadczyłem tego wielokrotnie z różnymi skutkami. Oto jeden z najsympatyczniejszych zbiegów okoliczności, jaki zdarzył mi się przed dwoma laty.

W maju 1989 r. podczas moich rutynowych prac na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie podszedł do mnie dystyngowany starszy pan z zapytaniem, czy nie wiem przypadkiem, gdzie znajduje się mogiła Ordona — bohatera Mickiewiczowskiej reputy. Ponieważ miałem przy sobie różnego rodzaju sprzęt służący do czyszczenia grobowców przed ich sfotografowaniem, pytający wziął mnie za sprzątającego cmentarz. Po wskazaniu pomnika Ordona wywiązała się dyskusja. Mój rozmówca zasypał mnie gradem pytań odnośnie cmentarza. Zorientowałem się, iż szuka po latach grobów rodzinnych i musi być z bardzo daleka. Gdy uzyskał ode mnie zadowalającą odpowiedź, zdziwił się i spytał: — „Skąd pan wie o takich szczegółach?” — „Bo spędziłem na Łyczakowie wiele miesięcy i napisałem o tej nekropolii książkę”.

— „Nieprawdopodobne! Pan jest jej autorem? Czytałem ją w Londynie. Cóż za zbieg okoliczności!” Nie mogąc powściągnąć swego zaskoczenia, po chwili krótko wyjaśnił: — „Przyjechaliliśmy tutaj z Londynu. Jest to kilkunastoosobowa grupa rodowitych lwowiaków, których los rzucił na wyspy brytyjskie. Na trzy dni przyjechaliliśmy do krainy swej młodości — po pięćdziesięciu latach. Szukamy tu grobów rodzinnych. Wiele z nich już przekopano. Jest z nami pan dr Emil Niedźwirski — 90-latek, obrońca Lwowa z 1918 roku, lekarz, pilot, pułkownik Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, swego czasu osobisty lekarz generała Andersa. Szuka grobu matki, Marii Róży Niedźwirskiej (1880—1933), na którym ostatni raz był przed wojną. Czy pan może pomóc?”

— „Z przyjemnością, mam dostęp do archiwum i nawet jeśli grób jest przekopany, potrafię ustalić, w którym miejscu osoba ta była pochowana”.

Swoją obietnicę spełniłem. Taki był początek mej znajomości z doktorem Emilem Niedźwirskim — człowiekiem o niezwyklej osobowości i zajmującej biografii, którą pragnę krótko przedstawić.

Emil Niedźwirski urodził się we Lwowie 30 IX 1900 r. w rodzinie kupieckiej. Jego ojciec, Norbert (1871—1915) prowadził sklep z narzędziami medycznymi przy ul. Krasickich w pobliżu kościoła Św. Anny. Pierwsza wojna światowa i śmierć ojca spauperyzowały rodzinę Niedźwirskich. Wówczas to 15-letni gimnazjalista, podając się za pełnoletniego, wstąpił do Legionów. Zrekrutowano go do VI pułku formowanego w Rozprze koło Piotrkowa. Z Legionami — do momentu aresztowania Piłsudskiego w 1917 r. i internowania legionistów — przeszedł cały szlak. Brał m.in. udział w krwawych bitwach pod Kułodnią, Kostiuchnówką, Kulką, Jabłonką. Później trafił do Dębina do armii Besselera. W początkach 1918 r. zdał w IV Gimnazjum we Lwowie tzw. „wojenną maturę” i natychmiast został zmobilizowany do armii austriackiej. Krótko przebywał w Zamościu, gdzie lekarz ujawnił mu wadę serca. Fakt ten spowodował wysłanie go do Märisch-Neustadt na Morawach do szkoły oficerskiej dla niezdolnych do służby frontowej.

1 XI 1918 r. Emil Niedźwirski przyjechał na urlop do Lwowa i zastał miasto w ogniu walki polsko-ukraińskiej. Jego koledzy gimnazjaliści, „lwowskie Orleńskie”, walcząc o każdy dom i ulicę, płacąc częstokroć najwyższą cenę — życia, wypierali stopniowo z miasta dobrze uzbrojoną przez Austriaków armię ukraińską. Od 2 XI był z nimi 18-letni Emil. Początkowo walczył na dworcu Czerniowieckim, a później na Politechnice, organizował tam m.in. punkt opatrunkowy i był jednym z najbardziej ofiarnych sanitariuszy.

Po odsieczy Lwowa przez gen. Michała Karasiewicza-Tokarzewskiego z V Dywizją ruszył na wschód w stronę Zbrucza. Wkrótce w randze podporucznika został przeniesiony do Wilna do szpitala na Antokolu. Wtedy też rozpoczął studia medyczne na reaktywowanym właśnie Uniwersytecie Stefana Batorego. Zdążył zaliczyć tylko jeden semestr, i znów musiał stanąć do walki, tym razem z maszerującą na zachód armią Tuchaczewskiego, która „po trupie jaśnie pańskiej Polski”



Dr Emil Niedźwirski
Fot. z 1936 r.

miała wejść do „rewolucyjnego Berlina”. Mianowany dowódcą kompanii sanitariuszy, wraz z oddziałem pułkownika Wędziagolskiego wycofał się do Grodna, a stamtąd — nie mogąc powstrzymać natarcia bolszewików — pociągiem sanitarnym przepełnionym rannymi udał się do Grudziądza. Dał wówczas dowody wielkiej ofiarności i samarytańskiego poświęcenia, ratując życie wykrwawionym w bojach kolegom.

W Grudziądzu Niedźwirski przeżył euforię, którą przyniosło zwycięstwo Piłsudskiego w bitwie warszawskiej w sierpniu 1920 r. i zwycięstwo Rydza-Śmigłego w bitwie nad Niemnem we wrześniu 1920 r. Po rozejmie polsko-bolszewickim został skierowany na studia medyczne do Lwowa. Było to swoiste stypendium, które fundowała armia polska swym ofiarnym żołnierzom. Niedźwirski trafił na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jana Kazimierza, na którym zgromadziły się wówczas wybitne, o znaczeniu europejskim, autorytety moralne i naukowe. Miał więc Niedźwirski znakomitych nauczycieli, takich jak m.in. profesorowie: Roman Rencki, Hilary Schramm, Kazimierz Bocheński, Jakub Parnas, Jerzy Grzędzielski. Wielu z nich wymordują w sposób bestialski Niemcy wspólnie z Ukraińcami z oddziału „Nachtigall” w tragiczną noc z 3 na 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich.

Po uzyskaniu dyplomu w 1925 r. doktor Niedźwirski został przydzielony do VI pułku lotniczego we Lwowie jako lekarz pułkowy. Tam miał odpracować swoje stypendium wojskowe. We Lwowie przebywał do 1932 r., pracując dodatkowo w Kasie Chorych i jako lekarz na Politechnice, a następnie na sześć lat został przeniesiony do szkoły lotniczej w Bydgoszczy. Użył wówczas kwalifikacje pilota i awansował do stopnia majora.

Przez cały okres międzywojenny dr Niedźwir-

ski był namiętnym narciarzem i motocyklistą. Były to w owych latach sporty bardzo elitarne. Ślady tych pasji znajdujemy w reportażu Niedźwirskiego z wyprawy na Węgry, do Austrii i Włoch, opublikowanym w kilku odcinkach w lwowskiej „Gazecie Porannej” w 1928 r. W kwietniu 1931 r. kierował wówczas akcją ratunkową zasypanego przez lawinę w Sławsku koło Stryja (w Karpatach) Ludwika Ralskiego — narciarza „Czarnych” Lwów, syna popularnego kupca lwowskiego. W 1932 r. Niedźwirski ożenił się z Karoliną Bezdek (1906—1984), córką znanej lwowskiej rodziny mieszczańskiej, wierną swą towarzyszką do końca życia.

Wybuch drugiej wojny światowej zastaje dra Niedźwirskiego w Krośnie. Stamtąd przez Łuck i Zaleszczyki wraz z cofającą się armią polską przedziera się do Rumunii. W pociągu z Czerniowiec do Dorohoj, przepełnionym uchodźcami, w okolicznościach wręcz nieprawdopodobnych, spotyka swą żonę, która dotarła tam zupełnie innym szlakiem. W Bukareszcie wspólnie zdobywają wizę francuską i samochodem przyjaciela docierają do Paryża, gdzie natychmiast zgłaszają się do dowództwa formującej się we Francji armii polskiej. Niedźwirski otrzymuje przydział do polskiej szkoły lotniczej w Lyonie i przebywa tam sześć miesięcy. Po zbombardowaniu Lyonu, podczas którego szczególnie ucierpiała szkoła lotnicza, po kapitulacji Francji, Niedźwirscy dociera-



Gen. Anders i dr Niedźwirski w otoczeniu przyjaciół. Jest to ostatnie zdjęcie generała Andersa zrobione 10 V 1970 r. w czasie przyjęcia u p. Czarneckich. Od lewej siedzą: gen. Władysław Anders, Olga Czarnecka, dr Emil Niedźwirski, Renata Bogdańska-Andersowa (lwowianka). Od lewej stoją: Irena Delmar-Czarnecka, mjr Kamil Czarnecki, Karolina Bezdek-Niedźwirska (lwowianka)

ją do znanego kąpieliska Biarritz nad zatoką Baskijską i tam w czerwcu 1940 r. wsiadają na polski statek „Sobieski” płynący do Anglii. Podróż jest dramatyczna. W każdej chwili statek może być zatopiony przez Luftwaffe. Szczęśliwie docierają jednak do Plymouth.

W Anglii dr Niedźwirski otrzymuje przydział jako lekarz wojskowy do szkoły lotniczej koło Nottingham, natomiast jego żona do szpitala polskiego w Dupplin Castle w Szkocji, gdzie pracowała jako asystent rentgenolog. Po trzech latach Niedźwirski zostaje skierowany na praktykę w angielskim ministerstwie lotnictwa, aby — po zapoznaniu się z doświadczeniami brytyjskimi — w przyszłości w wolnej Polsce w podobny sposób zorganizować polską lotniczą służbę medyczną. W 1944 r. został odkomenderowany do VI Armii USA na kontynencie we Francji. Uczestniczył m.in. w transportach ciężko rannych Amerykanów z Europy do Nowego Jorku. W tym czasie jako wyróżnienie otrzymał urlop „wypoczynkowy” na fregacie eskortującej konwój z Greenock (Szkocja) do Freetown w Afryce Zachodniej. Płynął tam jako główny lekarz. W każdej chwili konwój mógł być zaatakowany przez Niemców.

Tuż przed kapitulacją Japonii w sierpniu 1945 r. dr Niedźwirski został wysłany na Daleki Wschód do Sajgonu w celu zbadania warunków i możliwości ewakuowania stamtąd rannych i okaleczonych Amerykanów i Europejczyków.

Po zakończeniu II wojny światowej z ramienia brytyjskiego ministerstwa zdrowia dr Emil Niedźwirski został organizatorem polskiej przychodni lekarskiej w Londynie. Jej szefem był aż do 1987 r., gdy w wieku 87 lat przeszedł na emeryturę. Nikt nie potrafi przecenić znaczenia tej placówki medycznej (pracowało tam 14 polskich lekarzy różnych specjalności) w dziejach polskiej emigracji w Anglii. Przez jej gabinety specjalistyczne przeszło tysiące Polaków, których los rzucił na wyspy brytyjskie. Często nie znając języka, nie mając pieniędzy, trafiali tu bezradni, schorowani i zawsze znajdowali pomoc i poradę.

Z czasem pomieszczenia przychodni okazały się za małe. Wówczas z polecenia prezesa londyńskiego Komitetu Obywatelskiego, Karola Poznńskiego, dr Niedźwirski zaczął poszukiwania przestronniejszego lokalu. To, czego potrzebował, znalazł w centrum miasta, w słynnej medycznej części Londynu przy Weymouth Street 33. Komitet Obywatelski wykupił długoterminową dzierżawę na budynek, wykonał generalną przebudowę i przystosował go na potrzeby polskiej medycyny. Niedźwirski nadał tej placówce nazwę Polska Klinika — Polish Clinic. Dziś w tej klinice dzieło Niedźwirskiego kontynuuje jako kierownik polski lekarz młodej generacji dr Andrzej Wincewicz.

Dr Emil Niedźwirski, który do dziś sporadycznie prowadzi praktykę prywatną, ma opinię znakomitego internisty. Jest postacią powszechnie znaną w środowiskach polskiego Londynu. Miałem tego liczne dowody, uczestnicząc w jego towarzystwie w wielu przyjęciach i spotkaniach. Był lekarzem osobistym wielu znanych w kręgach polonii londyńskiej postaci, m.in. gen. Wła-

dysława Andersa, gen. Klemensa Rudnickiego czy choćby popularnego „Tońka” z Lwowskiej Wesołej Fali, czyli Henryka Vogelfängera. Był obecny przy śmierci gen. Andersa, który niespodziewanie zmarł po ciężkim wylewie krwi do mózgu w 1970 r. Jako jedyny lekarz uczestniczył w przeniesieniu zwłok generała na cmentarz Monte Cassino. Z pogrzebu tego zrobił prywatną kamerą film dokumentalny pokazany w maju 1990 r. w telewizji polskiej.

Jedną z pasji dra Niedźwirskiego są podróże. Był na wszystkich kontynentach. Dwukrotnie objechał świat dookoła. Po wojnie był kilkakrotnie we Lwowie. Angażował się w akcje protestacyjne przeciwko dewastacji cmentarza Orłąt. Do osiemdziesiątego roku życia grał w tenisa. Kocha zwierzęta i przyrodę. Nie stroni od mocnych trunków. Z wdziękiem komplementuje kobiety. W ciągu kilkumiesięcznego pobytu w Londynie podziwiałem, z jaką zręcznością prowadzi samochód po najbardziej zatłoczonym w Europie mieście. Żywo interesuje się tym, co się dzieje w kraju i dość regularnie śpieszy z materialną pomocą. Stroni od rozmów na ten temat, ale wiem ze źródeł miarodajnych, iż kilka instytucji w Polsce otrzymało od dra Niedźwirskiego wysoko specjalistyczną aparaturę medyczną, m.in. Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni, Zespół Opieki



Niedźwirski i Nicieja przy Pomniku Katyńskim

Zdrowotnej w Gdyni i Szpital-Pomnik Centrum Zdrowia Matki-Polki w Łodzi.

W listopadzie 1990 r., w związku z obchodami 72-rocznicy zwycięsko zakończonej Obrony Lwowa, dr Niedźwirski przyjechał do Warszawy i wziął udział — jako jeden z niewielu żyjących dziś uczestników walk o Lwi Gród w listopadzie 1918 r. — w uroczystości nadania szkole nr 328 na Gocławiu imienia „Orląt Lwowskich”. Był to jeden z pierwszych przypadków w powojennej Polsce oficjalnego powierzenia szkole jako patronów Obrońców Lwowa. W uroczystości tej uczest-

niczył również senator Andrzej Szczepkowski, wybitny aktor, absolwent IV Gimnazjum Lwowskiego, a więc młodszy kolega szkolny Niedźwirskiego. Recytował wówczas m.in. wiersz Hemara:

My jesteśmy z tej jedynej Troi
Z tej jedynej na cały świat,
Którą kiedyś, w śmiertelnej potrzebie
Hektor
zdołał przed wrogiem obronić
A miał wtedy
Piętnaście lat.
A był wtedy w gimnazjalnym mundurku
W surducinie ulicznego baciarza.

AKTUALNOŚCI

DANUTA NESPIAK

Zastanówmy się razem

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich jest organizacją społeczną zrzeszającą nie tylko dawnych mieszkańców tego miasta, ale też w równej mierze tych, którzy mieszkali w Stanisławowie, Tarnopolu, Drohobyczu, Stryju, Złoczowie, Żółkwi, Tłumaczu, Kołomyi, Buczaczu, Dolinie, Czortkowie, Husiatynie czy innych pięknych i historycznych miejscowościach Małopolski Wschodniej. Z tego też tytułu zrodziła się konieczność uwzględnienia aktualnego stanu „demograficznego” Towarzystwa i w projekcie nowego statutu stowarzyszenie nosi nazwę Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich.

Organizacja rozrosła się dynamicznie. Niektóre środowiska tworzą duże i prężnie działające oddziały, jak np. Stanisławów, który skupia liczne grono członków w Krakowie i Wrocławiu; podobnie Stryj.

Ta społeczność kresowa obserwuje uważnie nie tylko krajobraz społeczno-polityczny za wschodnią granicą, ale w jej polu widzenia znajduje się również sfera polskiej polityki wschodniej. Trudno się temu dziwić choćby dlatego, że wielu z nas pozostało tam nie tylko domy i dorobek życia, ale również mogiły najbliższych, do których chciałoby się swobodnie dojechać. Pewne fakty zaczynają jednak budzić nasz niepokój i jako organizacja społeczna kresowiaków z Małopolski Wschodniej czujemy się zobowiązani do wyrażenia swojej dezaprobaty wobec niektórych publicznych wypowiedzi i artykułów odnoszących się do stosunków polsko-ukraińskich. Wypowiadają się obywatele polscy o orientacji filoukraińskiej, której ani nie mamy prawa, ani nie chcemy potępiać, gdyż polski dziennikarz czy polityk, jak również zwykły obywatel ma prawo wyboru każdej opcji w demokratyzującym się kraju.

Nasza dezaprobata i stanowczy sprzeciw ma miejsce wówczas, gdy orientacji tej używa się w tym celu, aby świadomie przekłamać fakty z dawnej lub bliższej przeszłości obu narodów, a zwłaszcza by przedstawić żądania moralnego zadośćuczynienia tragicznie doświadczonej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej przez ludobójstwo UPA jako działań wymierzonych w polską rację stanu.

Uważamy, że ułożenie dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą, wbrew opinii niektórych działaczy politycznych z Unii Demokratycznej, Roadu czy Solidarności Walczącej, zależy przede wszystkim od uznania przez stronę ukraińską działań zbrojnych UPA wobec polskiej cywilnej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej jako zbrodni ludobójstwa. A jak wiadomo, zbrodnie takie nie ulegają przedawnieniu. W wyniku właśnie tej zbrodni doszło do depolonizacji tych obszarów o wiele większej niż na Wileńszczyźnie czy Grodzieńszczyźnie. Końcowym efektem z konieczności stała się akcja „Wisła”, mająca na celu odcięcie zbrojnych ugrupowań UPA od zaplecza w postaci żywności, dachu nad głową i rezerw ludzkich.

Stoimy na stanowisku, że pomijanie świadomym milczeniem właściwej przyczyny przesiedleń ludności łemkowskiej i ukraińskiej jest krzywdzące nie tylko dla Polaków, ale krzywdzi również społeczność ukraińską w Polsce. Ukrywa bowiem właściwe powody przeprowadzenia akcji „Wisła”, ugruntowując niechętny, a nawet wrogi stosunek przesiedlanych Ukraińców do Polaków, którzy bez powodu stali się sprawcami ich nieszczęścia.

Podawaniem półprawd z celowym przemilczeniem przestępstwa, jakim było ludobójstwo cywilnej ludności polskiej i szlachetnych Ukraińców ukrywających Polaków przed UPA, charakteryzują się np. wypowiedzi piosła Włodzimierza Mokre-

go (zob. „Życie Warszawy” z dnia 1 II 1991). Chwaląc Senat polski za potępienie akcji „Wisła”, pan poseł uprzejmiwie poinformował, że Rada Najwyższa Ukrainy w zamian zapowiedziała zajęcie stanowiska wobec krzywd doznanych przez Polaków na Ukrainie. Poseł Mokry pomylił się tutaj dwukrotnie. Po pierwsze, nazwał krzywdą takie działania przestępcze, jak morderstwa z premedytacją bezbronnym kobietom, dzieciom i starcom na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Czynów takich żaden prokurator nie zakwalifikuje jako „krzywdy”, tylko określi to jako morderstwo. Po drugie, „krzywdy” w latach 1942—1944 nie miały miejsca na Ukrainie, tylko w okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Małopolsce Wschodniej, nazywanej przez nich „Distrikt Galizien”.

Szczytem ufności pana posła Mokrego w polską naiwność kresowiaków było żądanie, by również Sejm stwierdził publicznie, że wszyscy przesiedleni Ukraińcy i Łemkowie w ramach akcji „Wisła” byli niewinni. Gdyby tak było faktycznie nie byłoby akcji „Wisła” nawet w PRL. Jaki byłby powód, żeby spokojną, niewinną rolniczą ludność rozpraszać po całej Polsce, wyludniać południowo-wschodnie rejony kraju i ponosić koszt takiej operacji?

Jesteśmy natomiast pewni, że wśród przesiedlonej ludności byli też ludzie zupełnie niewinni i tym zrobiono ogromną krzywdę materialną i moralną. Ale o zadośćuczynienie moralne dla tych ludzi winien się pan poseł upominać nie tylko u przedstawicieli Sejmu RP, ale również u przedstawicieli tych odłamów narodu ukraińskiego, którzy do niepodległości wybrali drogę wskazaną przez OUN-UPA. Niewinni Łemkowie przesiedleni w akcji „Wisła” są właśnie ofiarą ich nacjonalistycznej polityki.

Towarzystwo Miłośników Lwowa nie posługuje się, dopominając się o sprawiedliwą ocenę konfliktu, „dawnymi antyukraińskimi pracami”, jak to sugeruje poseł Mokry. Mamy dość praktycznej wiedzy, pochodzimy przecież stamtąd, byliśmy świadkami i uczestnikami wielu tragicznych wydarzeń, nasi ojcowie nie walczyli we Lwowie w 1918 roku „o kształt granic, a więc o wielkość terytorialną państwa”, jak uważa poseł Mokry. Walczyliby wtedy zupełnie gdzie indziej, a gdzie — łatwo się domyślić. Prawdą jest natomiast, że Ukraińcy walczyli wtedy o swoje niepodległe państwo, tylko że błędnie wybrali miejsce do walki o niepodległość, co się potem tak tragicznie zemściło na narodzie ukraińskim. Nie rozumiano wówczas „znaków czasu” i nie wywalczone samego jądra ruskiej państwowości — Rusi Kijowskiej. Jest to wielka ukraińska tragedia, a jej kulminacja przypadła na lata trzydzieste XX wieku.

Nie miał również poseł Mokry racji twierdząc, że po wysiedleniach Ukraińców do USSR w 1946 r. i po akcji „Wisła” kościół grekokatolicki przestał oficjalnie w Polsce istnieć, a wspólnoty unickie zaczęły powstawać po 1956 r. Sytuacja wyglądała następująco: wobec rozproszenia ludności ukraińskiej i przyjęcia na własność państwa ok. 600 cerkwi Stolica Apostolska oddała grekokatolików pod opiekę kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Z ramienia papieża opiekę tę sprawowali prymasi Polski, kardynałowie August Hlond, a następnie

Stefan Wyszyński i Józef Glemp. Kościół grekokatolicki miał w Polsce swoich reprezentantów — byli to księża przemyskiej kapituły unickiej w Przemysłu — ks. dr Mykoła Deńko i ks. prałat Wasyl Hrynyk.

Akcja „Wisła”, o czym poseł Mokry nie wspominał, nie objęła wszystkich Łemków i Ukraińców. Niektórzy pozostali na miejscu. W Komańczy została cała ludność grekokatolicka wraz ze swoimi duszpasterzami, księdzem Złoczowskim i księdzem Keleniukiem, którzy odprawiali w tamtejszej cerkwi nabożeństwa i świadczyli różnorakie posługi religijne. W Chrzanowie koło Ełku ksiądz Myrosław Ripecki po zamianie budynku szkolnego na świątynię grekokatolicką odprawiał tam nabożeństwa. Od 1950 r. ksiądz Wasyl Hrynyk prowadził liturgię dla wiernych grekokatolików w Nowym Dworze Gdańskim oraz w Kwasowie i Bytowiu na Pomorzu Zachodnim.

Oczywiście, że odwilż październikowa po 1956 r. rozszerzyła i zdynamizowała działalność duszpasterską księży grekokatolickich, którzy w większości zresztą pracowali w parafiach rzymskokatolickich. Kardynał Stefan Wyszyński, przychylając się do prośby księdza Wasyla Hrynyka, erygował właśnie przy parafiach rzymskokatolickich przeszło 68 grekokatolickich placówek i ośrodków duszpasterskich w celu zaspokojenia, choćby w części, potrzeb religijnych Ukraińców.

Mówiąc więc o koniecznym zbliżeniu polsko-ukraińskim, na którym nam, byłym mieszkańcom Małopolski Wschodniej zależy, byłibyśmy wdzięczni posłowi Mokremu i tym, którzy mają podobny punkt widzenia na drażliwe sprawy w tej kwestii, by zechcieli uczciwie odpowiedzieć na pytania:

1. Czy znają poglądy polityczne czołowych liderów OUN-UPA: Andreja Melnyka, który stwierdził, że Polska jest drugim odwiecznym wrogiem Ukrainy po Rosji, oraz Stepana Bandery, który przypomniał, że tylko Ukraina może zadać śmiertelny cios i rozwalić Polskę? Pytamy tylko dlatego, że przyjeżdżający do Polski młodzi Ukraińcy, działacze ukraińskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej udzielają wywiadów, mówiąc bez ogródek, że partii tej patronują bohaterowie UPA i OUN Bandera, Szuchewycz i Konowalec. (Zob. wywiad z Łesią Łewkiw, sekretarzem lwowskiego okręgu tej partii, „Tygodnik Gdański” nr 24 z 17 VI 1990).

2. Czy znana jest im przeszłość i twórczość publicystyczna Wasyla Weryhy, oficera specjalnego pułku ekspedycyjnego SS „Galizien”, który pacyfikował polskie wsie w woj. tarnopolskim, m.in. Hutę Pieniacką, gdzie wymordowano w bestialski sposób 870 osób, a którego poseł Mokry gościł w Polsce w 1989 roku?

3. Czy jako rzecznicy poglądu, że Polacy powinni znać drogę Ukraińców do niepodległości łącznie ze strasznymi represjami komunistycznymi na Ukrainie w latach 1932—1934, nie uważają, że: a) Ukraińcy winni również poznać tragiczny los Polaków na Kijowszczyźnie i Żytomierszczyźnie przed 1939 r. w wyniku tego samego terrorku, b) Ukraińcy winni być w sposób uczciwy zapoznani z tragedią Polaków Wołynia i Małopolski Wschodniej w wyniku ludobójczych działań UPA w latach 1941—1945?

Pod takim kątem m.in. wyobrażamy sobie, postulowany przez posła Mokrego na zjeździe w Jabłonnej w maju ubiegłego roku, proces rewizji podręczników historii.

Oskarżanie Towarzystwa Miłośników Lwowa przez pewnych publicystów (Andrzej Olszański, *Pamięć o kresach — tak, ale jaka*, „Rzeczpospolita” nr 4 z 5—6 I 1991), że działania, by upamiętnić ofiary tragicznych wydarzeń na kresach południowo-wschodniej Polski są zemstą, jest zwykłym oszczerstwem. Podstawowe wywody wspomnianego artykułu mają na celu zatarcie i wybielenie zbrodni UPA, które autor przerzuca na bliżej nie określonych ukraińskich kolaborantów. Rozczulające jest zwłaszcza wspomnienie o Stepanie Banderze, z tym że autor nie komentował, dlaczego aresztowali go Niemcy. Publicysta zamieszcza wstydliwą wzmiankę o mordach wołyńskich z natychmiastowym wyjaśnieniem, że nie wiemy, kto był rozkazodawcą tych działań, bo w ogóle, jak informuje polskich czytelników rządowej gazety Andrzej Olszański, „celem tej akcji było wypędzenie, a nie wymordowanie Polaków”. Załóżmy, że autor ma rację i chodziło tylko o wypędzenie Polaków. Czy zatem z moralnego punktu widzenia nie byłaby to ukraińska wersja akcji „Wisła”? Tylko o ileż tragiczniejsza, zważywszy że był to okres brunatnej okupacji hitlerowskiej. Dokąd to przepędzono by tysiące Polaków z ich ojczystych wsi na Wołyniu, Podolu i Pokuciu. Czy Prowid OUN-UPA przygotował im takie warunki osiedlenia, jak Łemkom komunistyczne władze PRL w ramach akcji „Wisła”?

Nie warto polemizować z tak niedorzecznymi i nie udokumentowanymi tezami Andrzeja Olszańskiego, jak powoływanie się na jakąś analizę (kto? gdzie?), że większość masowych rzezi na Wołyniu była dziełem formacji kolaboracyjnych, a nie UPA.

Towarzystwo Miłośników Lwowa wyraża pogląd, że im więcej będzie się ukazywać tego typu publikacji i im częściej będzie w ten sposób nagłaśniana akcja „Wisła” (jednostronnie, z pominięciem przyczyny), tym bardziej oddalać się będzie prawdziwe, oparte na uczciwości obu stron zbliżenie polsko-ukraińskie. Mamy moralny obowiązek walczyć o upamiętnienie około pół miliona ofiar mordów ukraińskich, wśród których oprócz Polaków byli i Żydzi, i sami Ukraińcy, których sumienie i postawa były pięknym świadectwem solidarności. Domagamy się uszanowania pamięci tych męczenników. Od kiedy takie żądania nazywają się w kręgu europejskiej przecież kultury zemstą?

Nasuwa się tutaj jeszcze jedna refleksja. Każde krytyczne podejście do skomplikowanych spraw polsko-ukraińskich traktowane jest przez pewnych przedstawicieli polskiego życia politycznego czy niektóre środowiska dziennikarskie (jak „Gazeta Wyborcza” czy „Tygodnik Powszechny”) jako godzące w porozumienie obu narodów czy wręcz antyukraińskie. Przypomina to nie tak dawne czasy, kiedy pisanie czy dopominanie się prawdy o Katyniu traktowane było analogicznie niemal jak śmiertelne niebezpieczeństwo dla stosunków polsko-radzieckich. Dzisiaj wiadomo, że pominięcie tej zbrodni milczeniem i dystansowanie się do sprawy Katynia, Ostaszowa, Starobielska i innych kaźni nie służyło nawiązywaniu normalnych, zdrowych stosunków z ZSRR.

Do smutnych refleksji skłaniają również treści niektórych artykułów gazet ukraińskich. Celuje tu np. „Ratusza” — organ Wojewódzkiej Rady Narodowej we Lwowie. Zamieszczony tam artykuł pt. *Do pytań pro „polskie pytania”* (z 22 III 1991) zawiera wyraźnie antypolskie stwierdzenia nie tylko w stosunku do „pana Jaworskiego” (chodzi tu o arcybiskupa archidiecezji rzymskokatolickiej we Lwowie Mariana Jaworskiego).

Znamienny jest również artykuł w „Młodoj Hałyczynie” z 5 IV 1991 r. pt. *Nawiszczo nam czuże kadyto*, w którym komentarz Bohdana Hnatowskiego o tworzeniu destrukcyjnych sytuacji przez tzw. „ljubyteli Lwiwa” poprzedzony jest rezolucją Lwiwskiej Obłasnoj Rady wyrażającej protest w kwestii uporządkowania organizacji kościoła rzymskokatolickiego na tym terenie.

W kontekście tego wszystkiego potem się dziwimy, że jest sprawa Przemyśla. Może byśmy się bili nie tylko w polskie piersi (jak z uporem nakazują nam pewni polityczni liderzy), ale również w ukraińskie, mówiąc jako wyznawcy tej samej religii, tylko innych obrządków, „nostra maxima culpa”.

Na koniec pytanie trochę z innej beczki, ale kresowiaci śledzą i czytają zwłaszcza to, co dotyczy losów ludności polskiej po wschodniej stronie granicy. Otóż w 3 marcowym numerze „Karty” z 1991 roku, niezależnego miesięcznika historycznego, organu Archiwum Wschodniego, na str. 83 znajduje się mapa „Ewakuacja i likwidacja więzień NKWD w czerwcu 1941 na Kresach Wschodnich, będąca fragmentem cyklu «Drogi śmierci». Nie wiem, czy to przeoczenie, ale wśród oznaczonych i znanych miejsc kaźni (Stryj, Złoczów, Stanisławów itd.) nie ma Lwowa. Pominięto więzienia na Łąckiego, Zamarstynowie i w Brygidkach. Dlaczego? Wina korekty?

Kilka pytań do p. posła Mokrego

„Życie Warszawy” nr 27 z 1 II 1991 r. opublikowało rozmowę red. Andrzeja Mikłaszewicza z posłem na Sejm RP p. Włodzimierzem Mokrym. Aby poruszoną problematykę przedstawić prawdziwie, konieczne jest postawienie p. Mokremu jeszcze kilku pytań, a także uzupełnienie o parę istotnych dla tej prawdy informacji.

1. Twierdzi p. Mokry m.in., że „dla Polaków walka o Lwów była walką o ... wielkość terytorialną państwa, dla Ukraińców zaś była to walka o zaistnienie niepodległego państwa ukraińskiego”. Zatem najzupełniej dowolnie i z gruntu fałszywie interpretuje p. Mokry historię lat 1918—1919 jako walkę o samą tylko „wielkość Polski”. W domyśle — zaborczą, niemal megalomańską, nie zaś jako walkę o jej niepodległość w granicach przedrozbiorowych, historycznych, zaś w odniesieniu do Lwowa — w granicach równie piastowskich, jak ziemie nadodrzańskie, i co nie mniej ważne, w granicach etnicznych.

Szkoda, że p. Mikłaszewicz nie zadał p. Mokremu bardzo istotnego pytania: Dlaczego to „walka o zaistnienie niepodległego państwa ukraińskiego” nie miała miejsca np. w Kijowie, Płoskirowie, Charkowie, na Zadnieprzu, ale akurat w polskim, stołeczno-królewskim mieście Lwowie? I drugie pytanie: Czy słuszne skądinąd aspiracje niepodległościowe Ukraińców zawsze mają mieć widoki na powodzenie jedynie kosztem Polski i Polaków?

2. Domaga się p. Mokry specjalnych praw dla przedstawicielstwa mniejszości narodowych w naszym parlamencie. W sejmie i Senacie II Rzeczypospolitej miały mniejszości zapewnioną pełną reprezentację.

Czy i jakie efekty to przyniosło — także w odniesieniu do dzisiejszej sytuacji Polaków np. na Ukrainie? Czy władze ukraińskie sięgnęły do wzorów Rzeczypospolitej? Jak dotąd, Polacy są tam obywatelami nawet nie II, ale III kategorii, praktycznie bez żadnych praw — czego nie zauważają ani p. Mokry, ani też p. red. Mikłaszewicz. Za to tak często żalący się na „antyukraińskość polską” p. poseł Mokry został do polskiego Sejmu wybrany polskimi przecież głosami.

3. Oto inny, bardziej dla nas dotkliwy przykład. Na całej Ukrainie istnieją zaledwie 2 szkoły z polskim językiem nauczania, mieszczą się we Lwowie, pracują w niezwykle trudnych warunkach. W Polsce język ukraiński jest nauczany w 2 liceach i w 36 szkołach podstawowych. Gdy dodać, że Ukraińców jest w Polsce ok. 300 tysięcy, zaś Polaków na Ukrainie ok. pół miliona — cyfry te mówią same za siebie. Jeśli więc rozmawia się o „wynaradawianiu”, to powinno się wskazać inne aniżeli Polska miejsce ...

4. Opinia publiczna w Polsce nie dość szeroko była dotąd poinformowana, że w minionym 1990 roku samo tylko Ministerstwo Kultury i Sztuki

przeznaczyło w swym budżecie następujące kwoty:

a) 928 mln zł na wspieranie kulturalnej działalności ukraińskiej w Polsce (wydawnictwa, wystawy, festiwale filklorystyczne, budowa pomników itp.).

b) 2,6 mld zł na ochronę zabytków kultury ukraińskiej,

c) 84 mln zł na wydatki związane z utrzymaniem biura Związku Ukraińców w Polsce.

Przeznaczono ogółem 3 miliardy 612 mln zł — przy ogromnych, powszechnie znanych trudnościach budżetowych Państwa, w sytuacji, gdy brakowało pieniędzy na dofinansowanie polskich teatrów, bibliotek, ośrodków kultury. Należałoby tę hojność chwalić (zwłaszcza że jest ona zgodna z zaleceniami Rady Europy), gdyby środowiska polskie na Ukrainie choć w połowie cieszyły się podobnymi względami ...

5. Myślę, że p.p. Mokry i Mikłaszewicz są choć trochę zorientowani, iż poza granicami Polski znalazła się ogromna część tych dóbr kulturalnych, jakie pokolenia narodu polskiego stworzyły swą pracą na przestrzeni wieków. Stan tych obiektów, pamiątek i pomników naszej kultury narodowej — o unikatowym często znaczeniu także dla kultury ogólnoeuropejskiej — jest gorzej niż opłakany. Są one niezmiennie traktowane jak zdobycz wojenna, są zawłaszczane bądź świadomie doprowadzane do ruiny. Co uczynił p. Mokry jako poseł do Sejmu polskiego, by przy swych rozległych stosunkach już z nowymi władzami ukraińskimi los tych unikatowych dóbr kultury odmienić?

6. Pojednanie polsko-niemieckie stało się możliwe wobec uznania i odcięcia się od popełnionych zbrodni. Nikomu dziś w Niemczech nie przychodzi na myśl, by tworzyć legendę o „bohaterstwie” np. gen. Reinefartha i jego zbrodniczej formacji. Niestety, na Wschodzie potrzeba takich „bohaterów” zdaje się dominować nad prawdą historyczną i wolą pojednania z tymi, którym udało się ująć z życiem przed wymyślną śmiercią.

7. Uważam, że p. Mokry jako osoba blisko związana z katolickim „Tygodnikiem Powszechnym” orientuje się w obecnej sytuacji kościoła rzymskokatolickiego we Lwowie. Nowy wojewoda lwowski p. Czornowił, ten sam, który „spełnia sny” p. posła Mokrego, dotychczas nie zwrócił społeczności polskiej we Lwowie ani jednego kościoła. W tym także kościele Św. Elżbiety, o który Polacy zabiegają od ponad trzech lat i który mieli przyobiecany jeszcze przez poprzednie władze. Natomiast perłę architektury łacińskiej, wzniesioną polskimi rękami — kościół Bernardynów — podarował ostatnio unitom.

8. Wreszcie żali się p. Mokry, że „tragicznie doświadczone środowiska Wołyńskiej Dywizji AK

oraz Towarzystwo Miłośników Lwowa" posługują się antyukraińskimi stereotypami. Sam p. Mokry przyczynia się do pomnażania takich stereotypów, gdy chyba świadomie nie dodaje, przez k o g o owe środowiska były tak tragicznie doświadczane. Bo czy w „SS Galizien” — „Hałyczyna”, w batalionie „Nachtigall”, w bandach UPA dokonujących okrutnych krwawych rzezi bezbronnej ludności wsi i miasteczek w Małopolsce i na Wołyniu służyli Turcy, Tatarzy lub Szwedzi? Czy na te wątpliwości miałyby odpowiedzieć postulowane wspólne badania historyczne? Bez tych badań dysponujemy wiedzą, że mordowano również Ukraińców, którzy mieli odwagę ochraniać ludność polską, którzy zachowali pamięć, że Rzeczpospolita była naszą wspólną ojczyzną, którzy wreszcie mieli po prostu ludzkie sumienie. Nie o „negatywne stereotypy” tu chodzi, ale o jednoznaczny osąd — także ze strony ukraińskiej — zbrodniczego ruchu i jego jeszcze bardziej zbrodniczych organizacji, których udziałem stało się ludobójstwo.

Gdy już mowa o latach wojny, również nie do czekał się osądu ze strony ukraińskiej fakt sowieckiej agresji we wrześniu 1939 r., łącznie ze zbrodniczą umową Stalina i Hitlera o rozbiórce Polski. Powstaje pytanie, z jak daleko idącą życzliwością traktować pragnienie Ukraińców uznania niepodległości, gdy po dziś dzień, także już

pod rządami „nowej władzy”, obchodzona jest uroczystość data utracenia niepodległości przez Polskę, gdy ulica 3 Maja we Lwowie wciąż nosi triumfalną nazwę „17 września”?

Słusznie twierdzi p. poseł, że „Moskwie komunistycznej, a nawet tej z Sołżenicynem, na niepodległej Ukrainie nie zależy”. Myślę, że mało komu w Europie będzie zależało zarówno na wskrzeszeniu upiorów z „tryzubem”, jak i na triumfalnych obchodach rocznic 1 lub 17 września 1939 r. Nam Polakom szczególnie, już nie tylko ze względu na tragiczne i gorzkie doświadczenia, ale także z powodu zapiekłej wobec nas wrogości, dziedziczonej wraz z tradycjami UPA, wciąż pielęgnowanej, wzbogacanej komunistyczną frazeologią, legendami o „polskich panach” — od której aż się roi we współczesnej, „nowej” prasie ukraińskiej. Z pewnością nie jest to droga prowadząca do naszego życzliwego zainteresowania niepodległą Ukrainą. I to właśnie p.p. Mokry i Michnik powinni uświadomić Ukraińcom, zarówno podczas wspólnych sesji, jak i na hałaśliwych wiecach.

Gdyby ktoś chciał poważnie myśleć o zbliżeniu, pojednaniu polsko-ukraińskim, o powrocie do normalności — powinien wiedzieć, że można je budować jedynie na prawdzie i sprawiedliwości, na uznaniu powszechnie przyjętych wartości, zwłaszcza chrześcijańskich, ale też nie tylko kosztem Polaków i Polski.

WSPOMNIENIA

JANINA STOPYRA

Bez dzieciństwa

Kiedy sięgam pamięcią w daleką przeszłość, do dni, tygodni i lat, które zostały zarejestrowane w mojej świadomości i przez całe lata pieczołowicie pielęgnowane — ciągle odżywają i uporczywie wracają tamte dni, niosąc ze sobą ból, gorycz, rozdarcie i utracone dzieciństwo, którego w całej dorosłej egzystencji nie zastąpi nic.

Zanim napiszę o tragicznym roku 1943, pokrótce o tym, co zapamiętałem z lat wcześniejszych. Mieszkaliśmy w miejscowości Łopuszna, gm. Chlebowice Wielkie, pow. Bóbrka (ok. 30—35 km od Lwowa). Moja mama Emilia była Ukrainką, bardzo ładną kobietą o kruczoczarnych włosach, niebieskich oczach i pięknych zębach. Mój ojciec Piotr był Polakiem, przystojnym brunetem, niezwykłe wesołym, bardzo muzykalnym. Ja urodziłam się w 1937 r., a brat Adam w 1940 r. Mieliś-

my dom dwu-trzy izbowy, z czego pamiętam dość dobrze tę jedną izbę, w której się częściej przebywało i żyło. Najbliższe otoczenie to: ogród z drzewami owocowymi, nieopodal płynąca rzeczka, a za nią pagórki, wzgórze porośnięte drzewami. Nie pamiętam, abyśmy mieli jakiś inwentarz, jedynie psa w budzie i kotkę. W bliskim sąsiedztwie mieszkał Ukrainiec (dobry) ze swoją rodziną, gdzieś w Starej Łopusznie mieszkała siostra mojej matki Marynka z mężem i dwojgiem dzieci w naszym wieku, a w odległości 1,5 km zamieszkiwali sami Polacy, w tym bliska rodzina mojego ojca.

Z późniejszych opowiadań wiem, że ojciec mój był w wojsku, a następnie w niewoli; później pamiętam już, jak przyjeżdżał ze Lwowa (tam mieszkała jego druga siostra Aniela) i przywoził dla

nas słodczyce i łakocie zdobywane w sposób jemu tylko wiadomy. Ważniejsze wydarzenie, które wryło się głęboko w pamięć, to wywiezienie babci i dziadka na Sybir (ponoć w 1940 r.) dlatego, że ich córka Emilia wyszła za Polaka. Mimo moich wtedy 4 lat pamiętam rozpacz i płacz, jaki towarzyszył im w przygotowaniu się do drogi. Nakładali na siebie niezliczoną ilość odzieży, chyba całą, jaką posiadali. Żegnaliśmy się w nieskończoność, po kilka razy, szlochając, bo wiedziała cała rodzina, że stamtąd się nie wraca. Pożegnanie zostało brutalnie przerwane przez uzbrojonego osobnika, który kolbą karabinu przywołał ich do porządku. Opuścili dom — wszelki ślad po nich zaginął.

Pozostały mi w pamięci także święta Bożego Narodzenia, które tam obchodzono bardzo uroczyście, choć skromnie. Było zawsze drzewko, po które obowiązkowo jechaliśmy z tatą sankami, ubrane następnie w jabłka, orzechy, ciastka o kształcie gwiazdek, łańcuchy papierowe i cukierki przywiezione ze Lwowa od cici. Na podłodze leżała słoma, po której się szalało do upadłości. Na stole przykrytym obrusem, pod którym znajdowało się siano, oprócz opłatka były pierogi, tzw. ruskie, z ziemniaków i sera, gołąbki z kaszy, kutia, kompoty z suszonych owoców.

Była wojna, było ciężko, ale dopóki był dom, mama i tato, my dzieci niewiele doświadczyliśmy zła. Najgorsze było to, że żyliśmy w ustawicznym strachu, bowiem zewsząd dochodziły sygnały, że Ukraińcy mordują całe rodziny. Naradzano się dniami i wieczorami, w którą stronę jechać, żeby wyrwać się z tego piekła i dostać do Lwowa, do ciotki Anieli. Mieszkała na ul. Janowskiej, była panną i pracowała prawdopodobnie jako pomoc domowa. Niewiele mogłaby pomóc swej licznej rodzinie, ale zawsze coś — była pierwszym punktem zaczepienia. Wieści były przerażające, człowiek bał się drugiego człowieka. Uradzono więc, że ojciec pożyczyc konia i furmanki od swojego brata Józka (widocznie nie mieliśmy swoich), zabierze trochę dobytku i wczesnym marcowym świtem 1943 r. ruszy do Lwowa, żeby to zawieźć, a następnie wrócić po nas. Ojciec mój pojechał z Łopusznej przez miejscowości: Siedliska, Tołszczów, Milatycze, Krotoszyn. Prawdopodobnie nie dojechał nigdy do ukochanego Lwowa — w jego opowieściach to było najwspanialsze miasto, z którym wiązał swoją przyszłość, gdzie kształcić się miały jego dzieci, gdzie sam chciał pracować, gdyż do prowadzenia gospodarstwa rolnego nie miał sentymentu. Ze nigdy do Lwowa nie dojechał, to pewne. Ciotka mieszkająca we Lwowie potwierdziła to.

Pamiętam ten dzień bardzo dobrze. Uprana bielizna suszyła się na sznurkach rozwieszonych w całym mieszkaniu, w piecu piekł się chleb, bo trzeba było zabrać ze sobą parę bochenków, my wykąpani i z nosami przy szybie czekaliśmy na powrót naszego taty. Dzień ten był pełen przygotowań do opuszczenia rodzinnego domu, pełen płaczu i pochlipywania, żegnania się z ogródkiem i wszystkim, co dom otaczało. Jednym słowem towarzyszyło nam ogromne napięcie i strach przed nieznanym.

Nadchodził nieubłagany wieczór, a taty nie było. Mama chodziła po mieszkaniu tam i z po-

wrotem, niczego nie mogła robić, leciało jej wszystko z rąk, szturczała nas i przeganiała z kąta w kąt. Wreszcie dała ujście rozpaczycy — zaczęła krzyżeć, jakby postradała zdrowy rozsądek, płakała, waliła pięściami w łóżko, na którym kłęzczała, w końcu wyczerpana skamieniała. Nagle zerwała się, zaczęła gorączkowo szukać w szufladach jakichś papierków, pewnie aktu ślubu czy urodzenia, wybierając się zdecydowanie na poszukiwanie ojca. Łudziła się, że może jest tylko zatrzymany wskutek braku dobrych papierów, krzychała, że już ona to załatwi, że im pokaże, że nie daruje.

Pobiegła do rodziny, nakłoniła do poszukiwań bratową Julię sugerując, że powinna z nią pójść, bo to był ich koń i furmanka. Po nieprzespanej nocy, skoro świt, zaopatrzone w te „dobre papiery”, ruszyły na poszukiwanie, zostawiając nas samych, bez opieki. Miały wrócić przed wieczorem — nie wróciły już nigdy. Zostaliśmy sami; stryjka Julia zostawiła oprócz męża 3 dzieci: jedno w naszym wieku, dwoje starszych — 13 i 14 lat.

Czekaliśmy zatem oboje z bratem cały dzień, siedząc na stole przy oknie, rwąc ten świeży chleb na kawałki, aby zaspokoić głód i opanować strach przed nadchodzącym wieczorem i nocą. Wiedziałam, że musimy iść ich szukać lub uciekać gdzieś, żeby nas też nie zamordowali — byliśmy opuszczeni, osamotnieni i bezbronni. Nasz histeryczny płacz był jakby ocaleniem, usłyszał nas sąsiad — Ukraińiec, który zabrał nas do swojego domu. Nie wiem, jak długo nas ukrywał, prawdopodobnie kilka dni. Dość łatwo było nas przysposobić, gdyż mówiliśmy co drugie słowo po ukraińsku, lecz i tak było to dla niego niebezpieczne — ciągle biegaliśmy do naszego domu sprawdzać, czy czasem nie wrócili rodzice.

Jednym z niezwykle przykrych i bolesnych wydarzeń był dzień, kiedy pozostała rodzina opuszczała na zawsze Łopuszną. Było to rodzeństwo mojego ojca oraz dalsi krewni — jechali do Lwowa, a potem dalej w głąb kraju, osiedli w końcu na Pomorzu. Pamiętam, jak wzięłam swojego brata za rękę i biegliśmy za ich wozami, prosząc to cicię, to wujka, to stryjka, żeby nas zabrali, że może we Lwowie u cici jest tato i mama. Biegaliśmy, upadaliśmy, nasze małe nogi nie nadążały — słyszeliśmy tylko, że nie ma miejsca na furmankach. Pamiętam wiszące wiadra, garnki, worki, uwiązane zwierzęta — daleko ważniejsze niż dwoje osieroconych dzieci. Po latach wybażyłam to naszej rodzinie, ale osad w sercu został po dzień dzisiejszy. Wróciliśmy znękani, spłakani do naszego Ukraińca. W międzyczasie jakąś pomoc chciała nam zaofiarować siostra mojej mamy Marynka, która miała męża i dwoje dzieci — córkę i syna w naszym wieku. Niewiele mogła dla nas zrobić, bo to zagrażało życiu jej i rodziny.

Upłynęło parę dni i nieoczekiwanie zjawiała się w naszej Łopusznie ciotka Aniela ze Lwowa, którą rodzina poinformowała o sytuacji. Opowiadała, że w drodze do nas starała się dotrzeć do miejsca, gdzie przypuszczalnie byli zamordowani nasi rodzice. Wiedziała, jaką drogą jechał tato do Lwowa, i ustaliła, że była to miejscowość Tołszczów (nazwa może zniekształcona). Obok budynku

mieszkalnego w lesie znajdowała się tam ogromna stodoła, a za nią dół przykryty słomą, wypełniony ciałami zamordowanych. Ciotka usiłowała odnaleźć naszych rodziców, ale było to niemożliwe. Zwłoki były zmasakrowane, popalone rozżarzonym drutem, z wyklutymi oczami, uciętymi językami. Obraz, który ukazał się jej oczom, przeszedł jej oczekiwania. Nie dawała za wygraną, chciała się choć dowiedzieć, za co ich spotkał ten los. Dowiedziała się, że te dwie młode kobiety zginęły z własnej winy. Zwłaszcza moja mama zachowywała się agresywnie, nie panowała nad sobą, krzyczała, szarpała się, rzucała się do bicia, była nieposkromiona i z tego powodu ją uciszali, a dla porządku i jej bratową. Mówili, że mogła przeżyć, nie chcieli jej mordować. Ciotka zrezygnowała z pochówku, nie wytrzymując fizycznie ani psychicznie. Przyjechała na ratunek nam i swojej matce, a naszej babci, bo i ją „rodzinka” zostawiła w opuszczonym domostwie ze względu na brak miejsca na furmance, a my nie mieliśmy pojęcia, że około 1,5 km od nas siedziała samotna, otepiała z bólu i rozpaczy.

Ciotka szukała sposobu, aby nas zabrać z tego piekła. Pertraktowała z sąsiadem Ukraińcem, obiecując mu złote góry, żeby nas choć odwiózł na stację kolejową do Chlebowic, skąd byśmy może dojechali pociągiem do Lwowa. Długo się opierał, strach go paraliżował, mówił, że chce żyć, że też ma dzieci i dom. Nasz płacz i prośby wzięły górę. Zapakował nas dwoje, babcię i ciotkę i ruszyliśmy tą furmanką, cały czas klepiąc modlitwy, jakie kto umiał, być może nie na próżno. Pamiętam, że droga była wyboista, wóz podskakiwał, siedzieliśmy jak trusie, wypatrując czy, czy z krzaków nie wychyli się morderca. Niestety, nikt nie mógł przejechać nie zauważony. Z lasu wynurzyło się trzech uzbrojonych ludzi, byli roslymi, brodatymi, czarnymi mężczyznami w długich płaszczach, niby wojskowych, przepasanych w pasie, na ramieniu mieli karabiny. Widok ich sparaliżował dorosłych, a my oboje zaczęliśmy krzyczeć i płakać, bo od paru dni wszelki strach kojarzył się nam wyłącznie z Ukraińcami. Nasz krzyk rozniósł się echem po lesie, chcieli

wylegitymować sąsiada, oglądali jakieś dokumenty, coś tłumaczyliśmy im, oni nam. Moja ciotka, bardzo ładna i młoda dziewczyna, wzięła ich na łzy, ale i to na wiele się nie zdało, kazali skręcić z drogi i wysiadać.

Jakby instynktownie, zalewając się łzami, zaczęliśmy prosić po polsku i ukraińsku „panie pomilujścia, pusti nas”. Nagle jeden trącił drugiego łokciem, coś mówiąc, a ten niby dowódca machnął ręką, żeby jechać dalej. Pojechaliśmy dalej nie mogąc uwierzyć, że wydostaliśmy się z tego piekła. Płakaliśmy z radości i dziękowaliśmy Bogu, że czuwał nad nami. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy nasz sąsiad Ukraińiec dojechał do domu szczęśliwie i cało. Dziękowaliśmy mu długo i serdecznie za ten dobry uczynek, życząc wszystkiego najlepszego. Wierzę, że takie poświęcenie musiało być nagrodzone.

Po długim oczekiwaniu nadjechał pociąg towarowy, na podłogach wagonów pełno było słomy, wsiedliśmy z ulgą i nadzieją, że wszystko co złe, za nami. Ciotka umieściła nas wysoko na półce, nie wiem, z jakiego powodu, być może w dalszym ciągu trzeba było nas ukryć.

Po przyjeździe do Lwowa i dotarciu na ul. Janowską, gdzie mieszkała ciocia, spokoju nie było. Przeżywaliśmy kolejne naloty, bombardowania, wędrowki do piwnic i schronów. Często stawaliśmy z bratem w bramie i oglądaliśmy maszerujące wojska, czołgi, rannych z tobołkami, nie rozumiejąc o co chodzi. Wiedziałam, że wyrządzono nam straszną krzywdę, zwłaszcza mój mały brat był nieutulony, nie chciał jeść i spać, płakał do mamy, i do mamy. Co nas czekało dalej, dokąd iść, a trzeba było iść, byle ze Lwowa.

Kiedy oglądam się wstecz i dziś myślę o tym wszystkim, pytam sama siebie, jak ja to wytrzymałam, bo lata po wojnie były prawdziwą drogą przez mękę, gdy przyszło żyć bez ojca i matki, tułając się w poniewierce sieroczej, gdy wreszcie trzeba było udźwigać dorosłe życie na swych małych barkach, bo innej możliwości nie było. Brak rodziców, dziadków — bliskich, kochanych potrzebnych w dzieciństwie osób, to tak jakby dzieciństwa nie było.



KS. LESŁAW JEŻOWSKI

w Tłumaczu — po 50 latach

Dawniej jeździło się ze Stanisławowa do Tłumacza koleją. W Pałahiczach trzeba było wysiąść z pociągu zmierzającego do Czortkowa i zająć miejsce w lokalnym, kursującym z tej stacji tylko do Tłumacza. Kilkukilometrowej długości tor był prywatną własnością dwóch mieszkanek tłumackich. Po II wojnie światowej, gdy również Tłumacz został wcielony do USRR, rozebrano tory kolejowe ze Stanisławowa-Chryplina do Czortkowa i Tłumacza, zlikwidowano dworce, a wprowadzono komunikację autobusową. Z niej musiałem skorzystać, chcąc dostać się z początkiem września 1990 r. do miasta, gdzie chodziłem do gimnazjum i skąd wyjechałem w październiku 1939 r. Dworzec autobusowy w Stanisławowie znajduje się obok dworca kolejowego, który przetrwał lata wojenne i powojenne w nie zmienionym kształcie i nadal prezentuje się okazale. Linii autobusowych jest wiele, a do Tłumacza prowadzi ta, która dociera do Horodenki. Autobusy jeżdżą mniej więcej co godzinę. Wyglądają okropnie. Archaiczne karoserie, odrapane, brudne, siedzenia zniszczone, okna od dawna nie myte, ale korzystający z nich pasażerowie cieszą się, że w ogóle jadą.

Z dworca autobus kieruje się w stronę ulicy Sapieżyńskiej, przemianowanej na Radziańską. Jej początek obecnie zamieniony na trakt spacerowy ozdobiony kwietnikami i wodotryskami. Dalsza część Sapieżyńskiej w stronę Tłumacza, została znacznie poszerzona i obudowana dużymi gmachami. Stoi tu m.in. teatr o nowoczesnej, udanej architekturze. Za wiaduktem kolejowym, przez przedmieście Majzle, autobus zmierza szeroką, dobrze utrzymaną szosą do Tyśmienicy, miasteczka już w powiecie tłumackim. Ocalały w nim cerkwie, ale nie ma ani śladu po parafialnym kościele łacińskim należącym do Dominikanów i ormiańskim Św. Kajetana.

Za Tyśmienicą ciągnie się długa wieś Kłubowce. Na domach wiszą niebiesko-żółte flagi. Przy drodze usypano wysoki kurhan z krzyżem na wierzchu i ukraińskimi emblematami. U końca wsi, na rozdrożu, usytuowane jest duże rondo, z którego zbaczamy na południe. Drogowskaz zapowiada Tłumacz. Właśnie Tłumacz, a nie Towmacz, jak przed wojną Rusini nazywali to miasto. Jeszcze kilka kilometrów jazdy autobusem i po pół godziny od opuszczenia Stanisławowa jesteśmy na miejscu. Na prawo od drogi widać staw — cel przedwojennych przechadzek, miejsce kąpieli i pływania łódkami. Cały teren jest zagospodarowany, brzegiem stawu biegnie kamienny chodnik, przy nim ławki, ozdobna roślinność. Wszystko stanowi dobrą wizytówkę Tłumacza. Wjeżdżamy na najładniejszą jego ul. Słowackiego, dziś Zownie-

wą. Po jej obydwu stronach rosną duże drzewa, których dawniej nie było. Domy, dobrze przeze mnie zapamiętane sprzed wojny, na ogół stoją. Ale wyglądają bardzo biednie i niechlujnie. Bursa ruska zmieniła swoje przeznaczenie, przebudowany jest Wydział Drogowy. Pojawiły się nowe kamienice, m.in. na już przed wojną nie używanym cmentarzu żydowskim. Na rosyjską modłę krawężniki chodników są bielone.

Chociaż przy budynku „Sokoła”, w którym mieściło się Starostwo Powiatowe, nie ma przystanku, autobus zatrzymuje się i sporo pasażerów wysiada. Ja wśród nich. Patrząc na tak dobrze znaną mi budowlę. Tu przez dziewięć lat, aż do swojego uwięzienia przez NKWD, urzędował mój ojciec. Na drugim piętrze miała swoje trzy pomieszczenia „Sodaliczja Mariańska” uczniów gimnazjum. Okno największego z nich, bez szyb, jest założone pomalowaną płytą pilśniową. Naprzeciw „Sokoła” stało nasze gimnazjum. Podczas wojny podobno spaliło się. Obecnie na jego miejscu znajduje się posterunek milicji. Tuż przy nim rozległy park tłumacki, którego zazdrościli nam mieszkańcy innych powiatowych miast. Dzisiaj nie ma czego zazdrościć. Zdziczał, zarósł chwastami i chyba nigdy nie koszoną trawą. Dawne szerokie, dobrze zaplanowane i utrzymywane ścieżki nie pozostawiły po sobie śladu. Wytyczono nowe, na przełaj. Ulubiona, zwłaszcza przez młodzież, i piękna „ciemna aleja” zachowała tylko niektóre stare drzewa, pod którymi zresztą trudno przejść. Pod nogami walają się stare papiery, odpadki, rozbite flaszki. Wszystkie, nawet niebrzydkie lampy parkowe są rozbite. Część parku oddano do zabawy dzieciom. Zniknęła eksponowana figura Matki Boskiej, zamiast niej, chociaż w innym miejscu, stoi zadbane pomnik ofiar wojny 1941—1945 i zabitych „przez burżuazyjnych nacjonalistów ukraińskich”.

Główne ulice Tłumacza — 3 Maja i Piłsudskiego trudno poznać. Brak przy nich wielu domów. Nie ma hotelu i restauracji Schwefelgeista, przylegającej do nich księgarni „Wiedza”, nie ma charakterystycznej starej kamienicy notariusza Czechowicza. Na ich miejscu, ale w znacznym oddaleniu od jezdni wybudowany jest dom towarowy, obecnie ziejący pustką. Stąd zaczynała się ul. Kościelna prowadząca do kościoła parafialnego pod wezwaniem Św. Anny. Ulica pozostała, oczywiście z inną nazwą, pozostała też narożna kamienica, o ile się nie mylę, p. Kowalewskiego, ale zniknęły parterowe domy po obydwu jej stronach; zastąpiono je nowymi, piętrowymi. U wylotu tej krótkiej ulicy widać budynek kina o nazwie „Jubileuszowe”. Stał na miejscu całkowicie rozebranego kościoła.

Dwuwieżowy kościół tłumacki nie był ani za-
bytkowy, ani ciekawy architektonicznie. Wypo-
sążenie wnętrza miał skromne. Uratowały się z
niego tylko okazałe obrazy ołtarzowe, wśród nich
pędzla Batowskiego, wywiezione do archidiecezji
wrocławskiej przez ostatniego proboszcza, ks. Pisz-
czora, który objął parafię po śmierci w więzieniu
stanisławowskim w 1942 r. ks. Edwarda Tabacz-
kowskiego, długoletniego zasłużonego duszpaste-
rza.

Ocalała bardzo mizerna cerkiew greckokatolic-
ka przy ul. Kolinieckiej. Prawosławni, którzy
przejęli ją po wojnie, nie dobudowali żadnej wie-
ży ani kopuły, wciąż więc przypomina raczej ja-
kiś skład czy halę produkcyjną. Powstaje za to
nowa cerkiew unicka u początku ul. Słowackie-
go, w dawnym ogrodzie właścicielki majątku
ziemskiego, p. Dolajsovej. Budowa szybko postę-
puje.

Ulica Koliniecka miała jeszcze jeden liczący się
budynek — polską bursę, którą do 1939 r. zarzą-
dzał ks. prof. Mikołaj Witkowski. Tak jak kościół,
i ona zniknęła całkowicie. W prawie nie
zmienionym kształcie zachowało się natomiast
dawne żeńskie Seminarium Nauczycielskie, jedna
z wielu tłumackich fundacji ks. Tabaczkowskie-
go, która również dzisiaj służy celom edukacyj-
nym. Nie ma budynku Szkoły Powszechnej, znaj-
dującego się w pobliżu rzeczki Tłumaczyk. Za-
miast niej zbudowano nową na rynku miasta. Na-
przeciwko tej szkoły wzniesiono gmach partii ko-
munistycznej oraz pomnik Lenina, co spowodowa-
ło, że Tłumacz nie ma już swojego głównego
placu. Z jego przedwojennej obudowy pozostała
najwyższa w mieście dwupiętrowa kamienica
kupca Riesla i sąsiadujące z nią domy, a po prze-
ciwnej stronie apteka Szankowskiego, czynna do
dziś.

Jeżeli główne ulice Tłumacza tworzące trasę
przelotową ze Stanisławowa do Horodenki wy-
glądają jako tako i znać pewną dbałość o nie, to
ulice boczne przedstawiają się rozpaczliwie. Jezd-
nie poniszczone, chodniki — o ile w ogóle są —
pełne wyrw i dziur, domy odrapane, brudne, z
pourywanymi rynnami, źle połatany dachami,
ogrody zdziczałe, zachwaszczone, często zielsko
pokrywa ściany i wspina się na dachy. Przewróco-
nych płotów od lat nikt nie podnosi. Taka jest np.
ul. Grunwaldzka.

Przed wojną Tłumacz liczył ponad 7 tys.
mieszkańców; obecnie musi ich mieć znacznie
więcej. Świadczą o tym nowe bloki mieszkalne
usytuowane na dawniej nie zabudowanych tere-
nach miejskich i w prywatnych ogrodach. Obok
bloków, przy dawnych i nowych ulicach, widać
domy jednorodzinne, które w porównaniu z po-
dobnymi w Polsce prezentują się staroświecko
i biednie.

Chodząc po ulicach zatrzymuję się przed budyn-
kami, które były mi bliskie. A więc przy kamie-
nicy p. Francowej, ul. Słowackiego 5. W niej moi
rodzice zajmowali piętro. Dziś mieszka tam eme-
rytowany dyrektor gimnazjum, Rosjanin, który
pozwała mi rzucić okiem na pokoje, gdzie spędzi-
łem 8 lat swojego życia. Na parterze umieszczono
archiwum miejskie czy też powiatowe. Przy
tej samej ulicy dom pp. Hrapkowiczów, bardzo

zaprzyjaźnionych z moją rodziną. Józef Hrapko-
wicz był nauczycielem gimnastyki w gimnazjum,
jego żona Emilia — koleżanka mojej matki —
uczyła w szkole powszechnej. Dom Hrapkowi-
czów, o charakterze willowym, od strony fronto-
wej nie przedstawia się źle, ale od tyłu fatalnie.
W pobliżu, przy bocznej ulicy, dziś nazwanej Ko-
ciubińskiego, mieli dom pp. Gabańscy. Głowa ro-
dziny był geodetą. U Gabańskich mieszkali na
stacji moi koledzy gimnazjalni, jakiś czas Pel-
lich i Wyszowski, których często odwiedzałem
Jesienią 1939 r. po wyrzuceniu z mieszkania u p.
Francowej, moja matka i brat znaleźli u Gabań-
skich dach nad głową. Stamtąd też żołnierz
NKWD pamiętnej nocy 13 IV 1940 r. wywieźli ich
do Kazachstanu. Dom Gabańskich rozbudowano,
przerobiono i nie jest już ostatni na tej ulicy.

Przy ul. Grunwaldzkiej nie mogę natrafić na
dom Hartensteinów. Chyba go rozebrano lub w
inny sposób uległ zagładzie. Nowe domki bardzo
utrudniają orientację. Zdaje się, że kilka z nich
stoi w ogrodzie, w którym jako chłopiec bawiłem
się ze swoim klasowym kolegą Maksem (obecnie
mieszkającym w Tel-Awiwie) i jego młodszym
bratem Wiśkiem.

Trochę dalej, po przeciwnej stronie ulicy po-
winien stać dom Maliszów. Mieli oni majątek w
Oleszowie. Pani Maliszowa, którą znałem już ja-
ko wdowę, bardzo udzielała się społecznie. Prze-
mawiała na różnych akademiach patriotycznych
i kościelnych, spotykając się z powszechnym uzna-
niem. Do domu sąsiadującego z posiadłością Ma-
liszów chodziłem na lekcje fortepianu, których
udzielała mi p. Janiszewska, żona sekretarza Wy-
działu Powiatowego, siostra sędziego grodzkiego
Drohomyreckiego. Obydwu domów nie udało mi
się odnaleźć. Naprzeciw Seminarium Nauczyciel-
skiego mieszkał do czasu przeniesienia się do bur-
sy przy ul. Kolinieckiej mój gimnazjalny kate-
cheta, ks. Mikołaj Witkowski. Celebrował wów-
czas w kaplicy ss. Notre Dame, mieszczącej się na
drugim piętrze Seminarium. Chodziłem mu tam
służyć do Mszy Św. Na parterze znajdowało się
mieszkanie lekarza Gelehrtera. Po jego tragicz-
nej śmierci i przeprowadzeniu się rodziny do Lwo-
wa zajął je technik-dentysta Doller. Obecnie na
miejscu tego domu stoi inny.

W następnej przecznicy przy ul. 3 Maja w ka-
mienicy Ruczkowskiego po śmierci swego męża
burmistrza zamieszkała p. Maria Szankowska.
Często do niej chodziłem, przekazując od swoje-
go ojca przeczytaną przez niego prasę. Kamienica
ta zachowała się w stanie nie zmienionym, podob-
nie jak sąsiadująca z nią, a także ta naprzeciw,
należąca do p. Andrusiewicza, właściciela zakła-
du ślusarskiego.

Długo nie mogłem odnaleźć domu pp. Tuzin-
kiewiczów, w którym mieszkał mój gimnazjalny
nauczyciel j. łacińskiego i innych przedmiotów,
Marian Mierzwiński. Ulica, przy której stał, pro-
wadząca z dawnego rynku do cerkwi, przestała
istnieć. Udało mi się do niego trafić — niemal
przylegała do nowych bloków mieszkalnych. Dom
wydał mi się jakby nie zamieszkały i opuszczony.
Rodzina Tuzinkiewiczów była liczna. Z niej
pochodzą m.in. ks. Czesław Tuzinkiewicz, pro-
boszcz we Wrocławiu, Romuald, lekarz w tymże

mieście, Helena, nauczycielka w szkole na Jackówce, w pobliżu Tłumacza.

Chodząc do gimnazjum, nierzadko zaglądałem do swojego kolegi Mariana Lechowicza, który mieszkał w małym domu przy ulicy bocznej Słowackiego, tuż przy torach kolejowych tłumackiego dworca. Wszystkie domy przy tej uliczce pozostały — p. Kłodnickiej, wdowy, bratowej prezesa sądu w Tłumaczu, Steinwurzla — handlarza zbożem i bydłem, a także sąsiadujący z nim. Zniknął przeciwległy nasyp kolejowy, z którego w zimie zjeżdżało się na sankach. Na jego miejscu zbudowano bloki mieszkalne ciągnące się przez dawny cmentarz żydowski do kamienicy Francowej.

W kamienicy p. Krawczykowej przy ulicy w kierunku Nadorożnej, na parterze, mieścił się posterunek policji państwowej. Miał własną, dosyć zasobną bibliotekę, z której wypożyczałem książki. P. Krawczykowa jeden pokój przeznaczała na stancję uczniowską. Z tego powodu chodziłem również na piętro tego domu do swoich kolegów. Najczęściej wtedy, gdy mieszkali tam Kazimierz Suchecki, późniejszy proboszcz na Oltaszynie we Wrocławiu, bracia Berezowscy i Koladżyn, syn notariusza. Za kamienicą p. Krawczykowej aż do ulicy prowadzącej do nie istniejącej już stacji kolejowej wszystkie dawne parterowe domy ocalały. W jednym z nich mieszkał adwokat Samuel Jampoler, autor popularnych rozpraw na tematy prawne, z którego synem, Karolem, chodziłem do jednej klasy. W innym — pp. Ajdukiewiczowie. Ich syn, studiujący we Lwowie, podczas ferii dosiadał wierzchowego konia i jeździł na nim po podtłumackich polach i po ulicach miasta.

Chodziłem po Tłumaczu, niekiedy nie mogąc go poznać. Tam bardziej cieszą poszczególne budynki, które są takie, jak w 1939 r., i nie pozwalają po pół wieku nieobecności w Tłumaczu czuć się w nim zupełnie obco. Ot chociażby kamienica p. Makucha u początku ul. Piłsudskiego. Dziś przyozdobiona jest z boku malowidłem czy ceramiczną mozaiką o tematyce ludowej. Tu na parterze miał pracownię szewską p. Łukasiewicz, który naprawiał naszej rodzinie obuwie. Jego brat był urzędnikiem w Starostwie. Dziś tego lokalu nie ma. Nie ma też kancelarii adwokackiej Makucha, nacjonalisty ukraińskiego i senatora Rzeczypospolitej. To u niego pracował ojciec mego kolegi Harstensteina.

Ile wspomnień wywołuje położona naprzeciw narożna kamienica p. Kowalewskiego (!?) W jednym z jej lokali sklepowych ks. Tabaczkowski, tak wszechstronny w swej bogatej działalności, prowadził na początku lat trzydziestych sprzedaż dewocjonaliów i prasy katolickiej, zwłaszcza „Przewodnika Katolickiego” i wydawanego przez siebie „Orędownika Tłumackiego”. W tej kamienicy również strzygł nas fryzjer, p. Żurawski, zanim przeprowadził się na ul. 3 Maja, tu też prowadziła hurtownię tytoniową p. Domaszewska, niezwykle sympatyczna i zawsze elegancka pani. Właściciel kamienicy odbywał jednostajnym, powolnym krokiem codzienne przechadzki ulicami miasta.

Przed wojną z okien naszego mieszkania widziało się za tzw. „Hofem” kamienicę ks. Tabaczkowskiego odnajmowaną przez PZUW, obok niej dru-

gą, później zbudowaną przez notariusza Grabowieckiego, oraz dwa parterowe domy. W jednym z nich mieścił się jakiś warsztat mechaniczny, w drugim mieszkali pp. Hofmannowie. Ich dwaj synowie chodzili do gimnazjum. Starszy, Zenon, zmarł po wojnie w Anglii, młodszy, Tadeusz, jest lekarzem w Oleśnicy. Dzisiaj tych budynków nie zobaczyłbym, gdyż zastępują je nowe domy przy ul. Słowackiego i szkoła wzniesiona na „Hofie” na miejscu ochronki, dzieła ks. Tabaczkowskiego, powierzonej opiece ss. Służebniczek Starowiejskich. Poszedłem w tę stronę. Wiodąca tam ulica już za Seminarium nie ma chodników, jezdnia nie jest utwardzona, a nawet częściowo zarosnięta trawą. Jakoś konny zaprzęg wpada w jej wyboje. Obrazek jakby z zagubionej na Wschodzie głuchej prowincji. Wszystkie domy od Hofmannów do ks. Tabaczkowskiego łączono w jeden piętrowy blok. Stojąc przed domem ks. Tabaczkowskiego, przypominam sobie rodzinę p. Zabierzowskiego, w początku lat trzydziestych powiatowego inspektora PZUW. Jego córka, Pellerówna, chodziła do gimnazjum o rok niżej ode mnie. Teść p. Zabierzowskiego, p. Zaleski, zorganizował w Tłumaczu amatorski zespół teatralny „Zeter”, który od czasu do czasu występował na scenie w sali „Sokoła”. Gdy Zabierzowscy wyjechali z Tłumacza, „Zeter” się rozpadł, ale przedstawienia przygotowywane przez kogoś innego odbywały się nadal.

Przechodząc pod oknami tego scalonego budynku, widzę we wnętrzu parteru jakieś laboratorium chemiczne. Domyślałem się, że należy ono do szkoły medycznej ulokowanej w dawnym Seminarium.

Raz jeszcze idę ulicą Słowackiego, tym razem w odwrotnym kierunku, w stronę Stanisławowa, aby dotrzeć do Łokutek, pobliskiej wsi, którą z powodu jej kamieniołomu i skalnej groty odwiedzałem jako chłopiec. Przy początku drogi do Łokutek znajdował się żydowski cmentarz grzebalny. Dziś na jego miejscu rozsiadły się jakieś — może kolchozowe — zabudowania, które objęły również przyległą posiadłość pp. Sniechowskich, rodziny bardzo cenionej przez mojego ojca za jej patriotyzm i pęd do wiedzy. Wszystkie dzieci Sniechowskich otrzymały przynajmniej wykształcenie średnie. Obecnie najstarszy syn, prawnik, mieszka w Chicago, najmłodsza córka, Bilutowa, w Rzeszowie.

Dochodzę do szczytu wzgórza, skąd zadrzewiona szosa prowadzi w dół, do Łokutek. Na lewo ode mnie zaczyna się droga wiodąca w kierunku Pałahicz. Nie było jej przed wojną. Na rozdrożu postawiono świeży drewniany krzyż. Pałahicze są w dole, niewidoczne stąd. W tej wsi mieszkała hr. Dzieduszycka. Stara zasuszonej pani, która przyjeżdżała do Tłumacza czarną karetą ozdobioną herbami. Na koźle siedział stangret w uniformie. Nigdy nie widziałem jej rezydencji pałahickiej. Ale to chyba do niej przed wieloma laty przyjeżdżali Michałowski, Rodakowski i inni artyści. W katalogach ich obrazów napotyka się wzmianki, że ten i ów obraz powstał właśnie w Pałahiczach. Drugą właścicielką ziemską w Pałahiczach była p. Doszot-Posseltowa, z pochodzenia Niemka czy też Austriaczka, ale Polka z wyboru, aktywnie udzielająca się w tłumackich organizacjach patriotycznych. Zwieńczenie jej dworu było wi-

doczne z drogi prowadzącej z Klubowic do Tłumacza.

Sam Tłumacz, jako miasto i parafia istniejący od stuleci, nie miał żadnych zabytków architektonicznych ani ruchomych. Posiadały je za to okoliczne miejscowości. Niestety, i te zabytki uległy zagładzie podczas wojny i po jej zakończeniu. Wspomniałem o rozebraniu dwóch kościołów w Tyśmienicy. Podobny los spotkał kościół parafialny w Nizniowie nad Dniestrem i przylegający do niego klasztor popauliński, w którym ss. Niepokalanki prowadziły szkołę powszechną wraz z internatem dla dziewczyn. W Pohonii koło Tyśmienicy był grekokatolicki monaster Bazyliańców, w tamtejszej drewnianej cerkwi zachowało się stare malarstwo ścienne i słynący łaskami piękny obraz Matki Bożej w głównym ołtarzu. Nie wiem, co się z tymi obiektami stało. Mogę się domyślać, że liczne w powiecie polskie dwory, posiadające nierzadko cenne wyposażenie wewnątrz, już nie istnieją.

Idę teraz na przeciwny koniec miasta, w stronę Horodenki. Tłumaczyk, jak nikle płynął, tak nadal sący się leniwie, i jak zawsze nierzyjemnie zalatuje od niego. Chcę odwiedzić jeszcze cmentarz. Dawna, bardzo zła droga do niego otrzymała asfaltową nawierzchnię i chodnik dla pieszych, po obydwu jej stronach przybito domów. Sam cmentarz otoczono żelaznymi sztachetami. Od bramy wejściowej prowadzi w głąb utwardzona szeroka ścieżka. Wszędzie pełno nowych grobów. Niemal wszystkie mają krzyże. Napisy po ukraińsku lub rosyjsku. Wśród nich tu i tam ocalały polskie przedwojenne groby. Zatrzymuję się przy grobowcu Jahna, dawnego właściciela dóbr w Tłumaczu. Obelisk na wierzchu grobu stoi, ale płyta wejściowa rozbita, trumny zapewne obrabowano. Podobny los stał się udziałem innych grobowców, np. Szankowskich, Czechowiczów, Halkiewiczów. Stan kilku grobów świadczy o tym, że ktoś o nich pamięta. Może znajomi Rusini, bo z Polaków prawie nikt w Tłumaczu nie pozostał.

W zaroślach siedzi kilku mężczyzn i kobieta. Widząc, że chodzę między grobami i zatrzymuję się przy niektórych, ona wstaje, podchodzi do mnie i pyta, kogo szukam? Odpowiadam, że nikogo, i idę dalej. Wydaje się, że kaplica cmentarna została niedawno postawiona. Znajdują się w niej przedmioty kultu religijnego. Usytuowana jest w pobliżu ogrodzenia i ulicy. Ta, którą zapamiętałem sprzed wojny, stała wyżej przy głównej alei i w innej pozycji. Nie odnajduję grobu ks. Sawy, proboszcza koropieckiego, a następnie tłumackiego. Był poetą, publicystą, działaczem politycznym i społecznym. Mniemam, że zmarł przed I wojną światową albo zaraz po niej. Miasto poświęciło jego pamięci ulicę w pobliżu kościoła. Znowu muszę przejść obok siedzących. Tym razem idzie za mną mężczyzna i oświadcza, że jest pracownikiem cmentarnym, więc pomoże mi odzyskać grób, o który mi chodzi. Dziękuję mu i tłumaczę, że nikt z moich krewnych tu nie spoczywa.

Oddaliwszy się od nieznajomych, patrzę z cmentarnego wzgórza na panoramę miasta. Bez wież kościelnych przedstawia się nieciekawie. Brak jej jakiegś dominanta. Przeważają bezładnie rozrzu-

cone parterowe domki na przeciwległym zboczu czyli w pobliżu ul. Kolinieckiej. Tych okazalszych, wyższych stąd nie widać. Robi się mi jakoś smutno, a zarazem radośnie, że w obecnym Tłumaczu nie muszę mieszkać.

Siadam pod drzewami na ławce przy czyimś grobie, gdzie wiatr mniej dokucza. Przesuwają mi się przez myśl wspomnienia z lat przedwojennych, z życia bezpiecznego, spokojnego i pogodnego, w którego rzeczywistość aż trudno uwierzyć. Potem jawią się mi w pamięci tłumy uciekające we wrześniu 1939 r. z całej Polski przez Tłumacz do Rumunii, naloty samolotów niemieckich, wejście oddziałów Armii Czerwonej i NKWD, mordy dokonywane przez Ukraińców i Rosjan na Polakach, wywozy do Kazachstanu, tragedia mojej rodziny. Odzywają zasłyszane relacje o rzeziach Żydów w getcie tłumackim. Ilu musiało wtedy zginąć moich kolegów, znajomych? Ile ofiar wojny spoczywa na tym cmentarzu, ilu męczenników? Długo modłę się za ich dusze.

Miałem zamiar pozostać w Tłumaczu do wieczora. Ale wróć do Stanisławowa wcześniej. Pogoda odstręcza od pozostawania tu dłużej. Wszystko, co chciałem, zobaczyłem, a nie mam nikogo znajomego, którego mógłbym odwiedzić. Na odcinku ul. Piłsudskiego między nie istniejącym rynkiem a Tłumaczykiem, poniżej apteki, ale po przeciwnej stronie zbudowano nową restaurację i kawiarnię. Wnętrze lokalu nawet nieźle się prezentuje, lecz wybór potraw prawie żaden. Ruski barszcz, kotlet mielony. Nie chcę takiego obiadu. Poprzestaję na pieczywie.

Wracam i znowu przechodzę mostek na Tłumaczyku, aby dojść do dworca autobusowego. Tak szumnie nazywa się mały niszczyjący budynek, który postawiono za rzeczką po prawej stronie. Podjeżdżają pod niego autobusy i taksówki, wzbijając tumany kurzu. Żadnych napisów, dokąd zmierzają. Trzeba się pytać oczekujących. Z ulicy Horodeńskiej zjeżdża autobus jeszcze gorszy od tego, którym przyjechałem przed kilkoma godzinami. Jedzie do Stanisławowa. Wsiadam, a gdy rusza — po raz ostatni chciwie patrzę na mijane domy. Czy kiedykolwiek zobaczę je znowu?

Tkwi we mnie jakiś niedosyt, który towarzyszył mi przez cały czas mego pobytu w Tłumaczu. Ale dopiero teraz uświadamiam sobie, co jest jego przyczyną — brak na ulicach miasta jego dawnych przedwojennych mieszkańców. To oni powodowali, że czuło się tu naprawdę u siebie. Znało się ich z widzenia niemal wszystkich, z wieloma wymieniało się ukłony, serdeczne słowa, dowiadywało się z zaciekawieniem o ich codziennym życiu. Wszędzie panowała atmosfera wzajemnej życzliwości. Chociaż wcale nie brakowało w Tłumaczu Żydów i pewnej liczby Rusinów, nie przekreślało to jakiegś powszechnej, prawie rodzinnej więzi.

Prawdopodobnie bywało tak i w innych małych miastach Małopolski Wschodniej, ale że w Tłumaczu w szczególny sposób — może świadczyć fakt, iż tłumaczanie, którzy znaleźli się po wojnie poza swoim miastem, utworzyli własny związek, Klub Tłumacz, działający oficjalnie przy Towarzystwie Miłośników Lwowa we Wrocławiu.

KS. STANISŁAW TURKOWSKI

O piątym przykazaniu boskim

Kiedy ustanie wreszcie krwawych walk zawziętość
Kiedy wspomnieniem będą smutne dni niewoli
Oni to — jako nasza narodowa świętość
Będą jaśnili w chwałą złotej aureoli.

Tak pisała w jednym ze swych wierszy Helena Karpinałowa w Horodence w 1943 r., gdy wciąż dochodziły wstrząsające wieści o mordach dokonywanych na ludności polskiej przez szowinistów ukraińskich. Są sprawy, których zapomnieć nie wolno, choćby ze względu na pamięć o tych, którzy bezbronni niewinnie ginęli. Zmarli zobowiązują żyjących do pamięci i do szacunku dla sprawy, za którą oddali swe życie: *Mortui viventes obligant!*

Temu celowi pragnie służyć publikacja Aleksandra Kormana pt. „Piąte przykazanie Boskie: Nie zabijaj!” *Nieukarane ludobójstwo dokonane przez ukraińskich szowinistów w latach 1939—1945*, Koło Lwowian, Londyn 1990*.

Ludobójstwo będące zbrodnią dokonaną przez szowinistycznie usposobioną część Ukraińców na wielu tysiącach Polaków podczas drugiej wojny światowej domaga się zdecydowanego potępienia przez cywilizowany świat, i to bez zamazywania i bez retuszu. Nieubłaganie wpływający czas zaciera pamięć przeżytych koszmarów, co stanowi naturalny przejaw sprzyjający psychicznej higienie, a tym samym służy obiektywnemu spojrzeniu, bez zabarwień emocjonalnych i bez zacierzawienia, przybliżając pojednanie pomiędzy Polakami i Ukraińcami. „Te rany i cierpienia — jak uczy Jan Paweł II — trzeba ujawnić dla wyleczenia się z nich i zbawienia, dla pokutowania za nie, dzięki łasce pojednania”.

Dotychczasowe publikacje na ten temat są bardzo skąpe, niepełne, okrojone przez cenzurę, a ogłoszone na emigracji nie były dostępne szerszym kręgom. W archiwach kurialnych, niektórych bibliotekach oraz zbiorach prywatnych znajduje się wiele ważnych dokumentów zebranych przez arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, biskupa Wincentego Urbana, niektórych księży z archidiecezji lwowskiej oraz osoby świeckie. Materiały te, w odpowiednim wyborze i opracowaniu, powinny zostać udostępnione badaczom naszych najnowszych dziejów dla dobra sprawy i dla ujawnienia całej prawdy, bez przemilczeń i bez zafalszowania. Dopóki są dostępne te źródła, których jeszcze nie zdołano zniszczyć, i dopóki żyją jeszcze świadkowie owych bolesnych wydarzeń, jakie rozegrały się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej w okresie II wojny, milczeć o nich nie wolno. „Nie możemy bowiem nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli” (Dz.Ap. 4,20).

Praca dra Aleksandra Kormana jest tylko zarysowaniem problemu i sygnalizacją zagadnień, które wymagają szczegółowych badań, fachowych analiz i obiektywnych stwierdzeń, aby nie mieszać faktów i wydarzeń z różnych okresów naszej wspólnej historii. Kiedy mówi się o rzeczywistych krzywdach wyrządzonych przez Polaków w przeszłości, niekiedy odległej, to trzeba stwierdzić kategorycznie, że w latach 1939—1945 nie było ze strony polskiej żadnych prowokacji, które mogłyby usprawiedliwić owe napady i bestialskie mordy.

Omawiana publikacja jest niewątpliwie oskarżeniem. Ale bynajmniej nie jest oskarżeniem Narodu Ukraińskiego jako takiego, co trzeba wyraźnie podkreślić, Narodu, który ma prawo i obowiązek walczyć o swoją wolność, niepodległość i suwerenność. Nie jest także oskarżeniem Kościoła unickiego, który chlubne karty swych dziejów zaznaczył wiernością Stolicy Apostolskiej i męczeństwem wielu biskupów, kapłanów i wiernych trzech diecezji greckokatolickich na wschodnich terenach Polski. Jest natomiast oskarżeniem postaw nienawiści wywołanej i ukształtowanej przewrotną polityką pozbawioną elementarnych zasad etycznych i wszelkiej moralności. Jest oskarżeniem szowinizmu i nacjonalizmu wpajanego przez ludzi krótkowzrocznych, zaślepionych mirażem władzy i błędnych politycznych założeń.

Rozprawa A. Kormana ukazuje moralnych sprawców ludobójstwa oraz ich odpowiedzialność. Bolesne i przykre są te sprawy. Tym boleśniesz, że dotyczą dwóch narodów słowiańskich, wyznających tę religię chrześcijańską, dotyczą katolików, którzy w codziennym pacierzu, choć w nieco odmiennym języku modlą się do Boga słowami tej samej Modlitwy Pańskiej, wymawiając prośbę: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Zaś w Dekalogu wyznają piąte przykazanie: Nie zabijaj!

Opinia publiczna w kraju i za granicą jest nadal jeszcze wprowadzana w błąd przez kłamliwe i pokrętne informacje oraz tendencyjną dezinformację na łamach prasy, niektórych opracowań i publikacji przygotowywanych z myślą o tych, którzy nie są należycie zorientowani, nie przeżywali tych wydarzeń i nie znają zagadnienia. Jest wiele nieścisłości, przeinaczeń i przemilczeń bardzo szkodliwych dla prawdy, ale jest też wiele obaw i lęków przed nowym wybuchem nienawiści.

Przebaczyć, zrezygnować z odwetu w myśl zasad chrześcijańskich, to nie znaczy zapomnieć. Jan Parandowski określa pamięć jako „najcenniejszą właściwość duszy ludzkiej” i nazywa ją „przewodniczką ludzkości od pierwszych jej dni”. Oprócz pamięci indywidualnej, osobistej, istnieje pamięć zbiorowa, będąca własnością społeczną i dobrem wspólnym, na którym opierają się wartości najcenniejsze we wzajemnym współżyciu międzyludzkim i międzynarodowym. Zanim więc nastąpi prawdziwe pojednanie pomiędzy dwoma narodami w duchu wzajemnego poszanowania godności, muszą zostać „spisane czyny” i nie może być zapomniane zło uczynione ludziom przez ludzi. Musi zostać wyrównany „rachunek krzywd”.

Młodsze pokolenie nawet nie zdaje sobie sprawy, jak okrutne i bestialskie były to zbrodnie, jak wyrafinowane formy tortur stosowali w stosunku do bezbronych kobiet, starców i dzieci ludzie uważający się za chrześcijan, katolików, uczestniczący w niedziele i święta w „Słudze Bożej” i słuchający Bożego Słowa podczas cerkiewnej liturgii. Jest to dla nas wszystkich przestroga, że przed złem, grzechem, a zwłaszcza nienawiścią nie chroni człowieka sam zewnętrzny kult religijny, jeśli nie towarzyszy mu pogłębiona świadomość wiary i moralności chrześcijańskiej oraz stały wysiłek pracy wewnętrznej.

nej zmierzającej ku wydobywaniu z siebie dobra, a przewycięzaniu zła.

Trzeba o tych przykrych sprawach wiedzieć, trzeba o nich pisać i mówić, trzeba pamiętać, aby ustrzec siebie i młodsze pokolenia przed nienawiścią, gdyż tylko nienawiść i polityczna intryga zrodziły te zbrodnie. Pomijanie tych faktów, tchórzliwe przemilczanie w imię nowej, krótkowzrocznej polityki, a co gorsza — tendencyjna interpretacja wydarzeń udokumentowanych szczegółowo przez świadków i zdjęcia fotograficzne zachowane w archiwach kościelnych i prywatnych nie tylko nie służy pojednaniu, ale pogłębia wzajemną niechęć, budzi nową nienawiść, która przenosi się we wrogim nastawieniu na następne pokolenia Polaków i Ukraińców jako gorzki owoc fałszu i zakłamania.

Zło trzeba nazwać po imieniu i napiętnować bez względu na wszystko. Potępić zdecydowanie, choćby to nie odpowiadało pobożnym życzeniom tej czy innej grupy oraz doraźnym celom politycznym lansowanym przez określone kręgi. Choćby trzeba było narazić się temu lub owemu, choćby trzeba było wyrzec się lub zrezygnować z pewnych korzyści materialnych, gdyż i takie wchodzić mogą w grę. Trzeba to uczynić bez zaciętrzewienia, ale i bez naiwności. Łatwo wierność i naiwność wykorzystują polityczni gracze liczący na pobłażliwość, niezajomość zagadnień, przedawnienie i zapomnienie. Fałszowanie wydarzeń w relacjach publicystycznych, przemilczanie faktów, tendencyjna interpretacja, niszczenie dokumentów i zdjęć w archiwach i bibliotekach oraz wychowywanie młodych w ignorancji na pewno nie służy pojednaniu. Ignorancja rzeczywista albo udawana, gdyż i taką można spotkać w niektórych kręgach, metoda przemilczania jako swoista forma kłamstwa na doraźny użytek, bynajmniej nie służą wspólnemu dobru i tylko opóźniają proces pojednania i wybaczenia, którego pierwszym i zasadniczym warunkiem jest przyznanie się do winy, uznanie błędu, ujawnienie prawdy, całej prawdy, która niekiedy „ma smak gorzki, jak łyż”.

Młode pokolenie Polaków powinno znać całą prawdę,

by wiedzieć, co ma przebaczyć w imię miłości chrześcijańskiej, a młode pokolenie Ukraińców powinno też wiedzieć, za co ma przeproszać. Obie strony muszą odrzucić wszelki fałsz i zakłamanie oraz nienawiść, o której prof. S. Pigoń pisał, że „jest jej za dużo w naszym społeczeństwie, jest to niewątpliwie cecha patriotyzmu niewolnego, wyrzucić się ją musi z psychiki polskiej, bo jest ...wytworem złym, przekleństwem niewoli” („Tygodnik Powszechny” 19, 1986). Wychowanie patriotyczne w naszych czasach musi prowadzić do zwycięstwa człowieczeństwa nad bestialstwem, miłości nad nienawiścią.

Rozumiał to chyba nieznany autor wiersza, który w odpisach krążył w latach 1942—1943 na terenach południowo-wschodniej Małopolski, m.in. w Horodence, w której okolicy miały również miejsce mordy band UPA. Oto jedna ze strof tego utworu zatytułowanego *Ojciec nasz*:

A kiedy będziesz sąd czynił nad wrogi
I za występki karał naszych braci
Przebacz im Panie, niechaj wyrok srogi
Dusze ich zbłąkane na zawsze nie traci
Ojczyzny naszej wszystkim odpuść zdrajcom
Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!

A. Kormanowi należy się wdzięczność i uznanie za podjęty trud przedstawienia w zwięzły i skrótowy sposób dramatu obydwu bratnich narodów przez historię skazanych na wzajemne współistnienie, współzycie i współpracę. Niech opisane wydarzenia tych ponurych lat będą dla wszystkich ostrzeżeniem przed posiewem nienawiści i niechaj świadczą o tym, jak to „między bestialstwem a heroizmem” toczy się historia, między podłością a świętością wpływa życie ludzkie, a „Bóg pisze prosto po krzywych liniach” dzieje narodów i świata.

* Jednocześnie zostały wydane 2 kolejne publikacje Aleksandra Kormana: *Z krwawych dni Lwowa 1941 roku. Krwawy błękitno-złoty tydzień ukraińskiej irredenty*, oraz *Nieukarane zbrodnie SS-Galizien z lat 1943—1945. Chodaczów Wielki, Huta Pieniacka, Podkamień, Wycyn i inne miejscowości*.

KORESPONDENCJA

Joanna Domaszewska „Hanka”
łączniczka, kurierka Obszaru
Lwów AK — NiE — WIN
Wrocław, ul. Hodowlana 58

W miesięczniku „Semper Fidelis” nr 4—5 z 1990 r. ukazał się artykuł pana Aleksandra Bilińskiego *Z prof. dr. Edwardem Suchardą*. Autor przedstawia m.in. postać współwzięcia z ul. Łąckiego we Lwowie z 1945 r., ks. dziekana Tadeusza Blicharskiego, proboszcza parafii Stare Sioło jako osobę politycznie niezaangażowaną.

Znałam działalność kapelana AK Blicharskiego w okresie II wojny światowej na terenie wsi Stare Sioło. Był aktywny od pierwszych dni. Na plebanii otrzymywali schronienie żołnierze i policjanci ścigani przez nacjonalistów ukraińskich. Przybywali z okolicznych wiosek: Wodnik, Dźwinogrodu, Kocurowa i innych. Niejedni podzieliliby los wymordowanego szwadronu ułanów, odpoczywających w Rymanowie.

Ostoja polskości stał się kościół. Kazania księży — proboszcza Tadeusza Blicharskiego i wikarego Jarosława Chomiczkiego — podnosiły ducha mieszkańców. W październiku 1940 r. ks. dziekan rozpoczął w tajnym nauczaniu wykłady z zakresu szkoły średniej, zachęcony przez nauczycielkę Franciszkę Hupało, późniejszą komendantkę WSK Obwodu Bóbrka. Nauka na kompletach trwała do końca czerwca 1944 r.

W latach okupacji sowieckiej i niemieckiej plebania stała zawsze otworem dla potrzebujących, a w szczególności dla żołnierzy AK. W 1943 r. do Starego Sioła napływała ludność polska z Obwodu Bóbreckiego. Silne skupisko akowskie dawało szansę do odpierania zorganizowanych napadów ukraińskich.

W lutym tego roku 46-osobowa grupa operacyjna ze Lwowa, po wykonaniu zadania w powiecie przemyskim, przeszła do Starego Sioła i została zakwaterowana na plebanii. Ks. Blicharski zorganizował pomoc dla ran-

nych, których po opatrzeniu odtransportowano do Lwowa. Z początkiem czerwca 1944 r. u ks. proboszcza Blicharskiego odbyła się odprawa oficerów sztabowych Inspektoratu poświęcona rozlokowaniu oddziałów partyzanckich AK. Ppor. Włodzimierz Artymowicz „Grzegorz” i ppor. Stanisław Panasiewicz „Śmiały” uzgodnili miejsca postoju z komendantem Rejonu Stare-Sioło sierżantem Andrzejem Kobyłincem „Wicek”.

W okresie „Burzy” w Starym Siole stacjonowało zgrupowanie żołnierzy AK 5 DP. Na plebanii stał sztab Inspektoratu „Wschód-Południe”. W niedzielę 23 VII ks. Blicharski odprawił uroczystą mszę polową. Stawili się partyzanci, żołnierze AK, sztab z komendantem mjr. Anatolem Sawickim „Młot”. Zebrali się gremialnie wierni lud. Nabożeństwo zwieńczyła pieśń *Boże coś Polskę*. Po mszy odbyła się uroczysta odprawa wojskowa, na koniec zabrzmiał dawno oczekiwany hymn *Jeszcze Polska nie zginęła*. Wieś, udekorowana flagami, stała się bastionem polskości.

Centralnym punktem była kwatera sztabu mieszcząca się na plebanii. Przybywali tu kurierzy ze Sztabu Obszaru ze Lwowa i łącznicy z terenu Inspektoratu. Przywozili meldunki i odbierali rozkazy. 24 VII oficerowie radzieccy zgłosili się do dowództwa AK o pomoc w uwolnieniu z okrążenia oddziałów radzieckich pod Wodnikami. 24 i 25 VII oddziały akowskie likwidowały zmotoryzowane patrole niemieckie.

Nadszedł nieuchronny czas nawiązania kontaktu z Armią Radziecką. Wydelegowany przez komendanta Inspektoratu mjr. Anatola Sawickiego por. Paweł Jastrzębski „Strzała”, komendant Obwodu Bóbrka, jako przedstawiciel Armii Krajowej ujawnił się wraz z częścią oddziału. Po pertraktacjach, na żądanie radzieckiego majora służby bezpieczeństwa, oddział AK został rozwiązany i zmuszony do złożenia broni. Ci, którzy się nie ujawnili, dostali rozkaz ponownego zejścia do podziemia.

Ks. Blicharski nie ujawnił się. 26 VII sztab opuścił plebanie, w następnym dniu dotarł do Lwowa, przeprowadzony przez dwie kurierki, Elżbietę Malinowską („Wanda”) i Joannę Domaszewską („Hanka”), czyli przeze mnie. 6 I 1945 r. ks. Tadeusz Blicharski został aresztowany wraz z komendantem Rejonu Stare-Sioło Andrzejem Kobyłincem. Wspaniała biblioteka ks. dziekana — zbiory kronik, albumy z dziedziny sztuki, historii i literatury — dorobek całego życia, został zrucony przez NKWD na stos i spalony. Więźniowie zostali przewiezieni do Bóbrki, a po paru dniach odtransportowani do lwowskiego więzienia przy ul. Łąckiego.

Aresztowanie proboszcza ludność przyjęła jako prowokację mającą zmusić Polaków do wyjazdu na ziemie zachodnie. Dopiero następne aresztowania pod koniec stycznia i w lutym dały znak do opuszczenia ojcowizny.

Ks. Tadeusz Blicharski przebywał w śledztwie do jesieni 1945 r. Został zwolniony, ponieważ do końca się nie ujawnił. Przyjechał na ziemie zachodnie schorowany, ale jak zawsze pogodny. Zamieszkał w klasztorze w Strzelcach Opolskich. Przeżył na wolności zaledwie parę lat.

23.10.1990

Do redakcji „Semper Fidelis”

W związku z zamieszczonymi w nr 4—5 miesięcznika SF dwoma listami dotyczącymi tragedii 24 Polaków zamordowanych na zamku w Złoczowie w listopadzie 1918 r. pragnę uzupełnić materiał danymi zawartymi w opracowaniu pt. *Męczennicy złoczowscy*, której autorką jest pa-

ni Wanda Mazanowska, a które to opracowanie stanowi część szerszego zbiorowego opracowania pt. *W obronie Lwowa i Wschodnich Kresów*, wydanego we Lwowie w 1926 r. nakładem Straży Mogił Polskich Bohaterów, której p. Mazanowska była członkiem Prezydium.

W cytowanym opracowaniu znajduje się opis tych zdarzeń. „W nocy z 23 na 24 listopada 1918 r. rozpoczęła się oblawa na Polaków. Wyciągano jeszcze śpiących z łóżek i prowadzono na zamek. Aresztowano 73 osoby. Rano 24 listopada aresztowano właścicieli ziemskich, włościan, oficjalistów, księży, funkcjonariuszy państwowych, uczniów gimnazjalnych i studentów uniwersytetu”. Więzienie na zamku zapełniło się, trzeba było zająć pomieszczenia gimnazjum, budynek „Sokoła” oraz bursę im. Kościuszki.

Powody aresztowania były błahе: przyznanie się do polskości, dawanie pożyczek Polakom usuniętym z urzędu i nie mającym środków do życia. W opracowaniu została umieszczona lista osób więzionych aż do przybycia odsieczy polskiej 27 V 1919 r. Obejmuje 190 osób. Zawiera imię i nazwisko oraz zawód każdego z więzionych. Zaznaczono, że opis nie jest kompletny, brak wielu włościan, robotników kolejowych i innych. Gdy Polacy przegrali 27 marca 1919 r. pierścień wrogów otaczających Lwów, powtórzył się w Złoczowie mściwy odwet nad bezbronnymi. „Za zmyślone winy Polaków zbrodniczy sąd polowy”, którego skład wymienia autorka, wydał wyroki śmierci. Opisano tortury, którym poddano niesłusznie obwinionych. Mord miał miejsce w dn. 27 III, 29 III i 1 IV 1919 r. Ówczesny premier rządu Ignacy Paderewski potępił na posiedzeniu Sejmu w dniu 22 V 1919 r. tę zbrodnię.

Na liście skazanych i pochowanych w dwóch wspólnych mogiłach znajdują się 22 osoby, w tym na 1 i 2 miejscu Leon Czepielowski i Zdzisław Czepielowski, a na miejscu 14 Michał Stefanowski, o których wspomniano w listach do Redakcji SF.

Komisja sejmowa powołana w celu zbadania okrucieństw podała do publicznej wiadomości w broszurze pt. *Z krwawych dni Złoczowa 1919 r.* wszystkie szczegóły zbrodni.

Po wkroczeniu wojsk polskich do Złoczowa dokonano ekshumacji zwłok zamordowanych. W ogleńdzinach sądowno-lekarskich uczestniczyli lekarze, obywatele miasta — Polacy i Rusini, a także delegaci misji amerykańskiej i angielskiej. Wymieniono pełny skład imienny działającego Komitetu, dzięki któremu wzniesiono w Złoczowie mauzoleum wg projektu arch. W. Grzymalskiego ze Lwowa. W tym mauzoleum złożono 29 IX 1921 r. szczątki



Wejście do Rotundy grobowca w Złoczowie (stan obecny) — fot. ze zbiorów p. S. Maciaszka

22 ofiar. Odbyły się wielkie manifestacje z udziałem kilkudziesięciu tysięcy osób; Mszę Św. celebrował ks. biskup Czajkowski.

Warto przytoczyć ostatnie zdania z tekstu: „Gdy zastanowimy się nad zbrodnicznymi mordami niedoszedłego państwa ukraińskiego, nasuwa się mimo woli pytanie, czy zwycięzcy Polacy swym wrogom odpłacili podobną zemstą? — Nie! I dobrze się stało. Na zbrodni bowiem i nienawiści nic trwałego budować nie można; a te postacie świetlane, gdy klęcząc podczas salw śmierć im niosących za kapłanem odmawiały «Zdrowaś Mario» — niezawodnie bladymi ustami szeptały także: «Odpuść im Boże, bo nie wiedzą co, czynią»”.

Łączę wyrazy szacunku.

Stanisław Świtniewski
ul. Bema 3a/3
47-220 Kędzierzyn Koźle

Redakcja „Semper Fidelis”

W numerze 4—5,90 ukazał się artykuł dra Aleksandra Kormana o zbiorowym mordzie w Połowcach, dokonanym na Polakach przez terrorystów OUN-UPA w 1943 r., także notatka Władysława Zołnowskiego *Glossa do Sesji* informująca m.in., jak to dra Kormana proszono o niepodawanie drastycznych szczegółów zbrodni terrorystów UPA. I artykuł, i notatka budzą pewne refleksje — bo chyba nie tędy droga.

Jak każdy Polak, który mieszkał w Czortkowie w tamtych latach, pamiętam łuny i alarmowe gongi z niedalekiej wsi, palonej i mordowanej przez tzw. banderowców. Pamiętam duszący strach i spontaniczne odruchy nie dające się opanować nienawiści. Fale uchodźców polskich ze wsi, szukające bezpieczeństwa w Czortkowie — polskie domy na wezwanie Polski Podziemnej były dla nich otwarte. Mieszkali również w domu moich Rodziców. Pamiętam strzępy relacji cudem ocalałych ludzi ze dziesiątkowanych rodzin, świadków mordowania swoich najbliższych, mordowania bestialskiego, połączonego z przeraźliwym pastwieniem się nad zabijanymi. Zresztą obraz zwłok, ekshumowanych po mordzie w Połowcach, dokumentuje to dobitnie. To było i tego nie można przemilczeć i nie można nie rozliczyć. Kormanowi należy umożliwić mówienie i pisanie prawdy.

Tylko czy jest to cała prawda o stosunkach polsko-ukraińskich tych lat? Przecież pamiętamy my, mieszkańcy tamtych ziem, również Ukraińców innych, z którymi sasiadowaliśmy dom w dom, miedza w miedzę, od których — jak to bywa między sąsiadami — pożyczano się sól, prowadziło sąsiedzkie pogawędki, dzieci polskie i ukraińskie wspólnie bawiły się w piasku. Bywało, że właśnie Ukraińcy, mający lepszy dostęp do banderowskich informacji niż polskie podziemie, ostrzegali przed planowanymi napadami. Bywało — choć było tych przypadków nieproporcjonalnie mało w stosunku do dokonanych mordów — że udzielali schronienia Polakom, za co spotykały ich nieludzkie kary od „swoich”, nie różniące się od zbrodni popełnionych na Polakach. Tego też nie trzeba zapominać, bo taka jest po prostu prawda. Jeśli zapomnimy o tym — dopuścimy w istocie do pośmiertnego triumfu UPA — do powstania przepaści między oboma narodami. O to przecież chodziło w tych zbrodniach: nie tylko o doraźne zgładzenie setek tysięcy Polaków, ale także o idący w pokolenia posiew nienawiści, wyrastający z krwawej legendy, nie zrównoważonej w małym nawet stopniu udokumentowaniem innych

zachowań się Ukraińców. O tym też trzeba pamiętać W przeciwnym razie nastąpi na trwałe to, co tu i ówdzie pojawia się w naszym myśleniu — generalizujące utożsamienie OUN-UPA z całym narodem ukraińskim, zamieszkującym tamte ziemie.

I tu ogarnia człowieka przerażenie — jak szybko, na naszych oczach, znikają możliwości udokumentowania prawdy. Odchodzi już pokolenie, które w tamtych latach było pokoleniem dojrzałym, mogącym odpowiedzialnie zaświadczyć o faktach. Do starości zbliża się moje pokolenie, które tamte czasy zachowało w pamięci dziecinnej, rejestrującej raczej ogólną atmosferę tamtych lat niż nazwiska, daty, konkrety. Ostatni to już czas, by zebrać wiarygodne relacje. Bo oryginalnej dokumentacji zachowało się z tamtych ziem niewiele — a i to, co się zachowało, nastęrcza liczne trudności w jasnym odczytaniu.

Zaświadczyć to mogę odpowiedzialnie — na przykładzie akurat dość pomyślnym w dziejach podolskich archiwaliów czasu wojny — na losach okupacyjnego archiwum mojego śp. Ojca, w pierwotnym zasobie obejmującego lata okupacji sowieckiej, później niemieckiej — aż do 1945 r. Część została zabrana w Czortkowie w 1945 r. przez NKWD podczas aresztowania części ugrupowania konspiracyjnego. Inna część — zakopana w ogrodzie; nie udało się jej przewieźć do Polski — zapewne już zgniła. Duża część jednak została przywieziona do Polski. Ocalała cudem, bo nikt w czasie dość głośnego w latach powojennych procesu „Mohorta i jego bandy”, toczonego przed sądem wojskowym we Wrocławiu, nie ujawnił jej istnienia w kraju. Są to wszakże archiwalia nie do końca rozszyfrowane, z masą dokumentów podpisanych konspiracyjnymi pseudonimami, w wielu wypadkach na zawsze już ukrywającymi prawdziwe nazwiska ludzi bardzo zasłużonych dla polskiej konspiracji, tworzących prawdziwą polską historię tamtych ziem w latach wojny.

Sam Ojciec do końca życia męczył się nad rozszyfrowaniem tych pseudonimów, pamięć nie zawsze już dopisywała. A wcześniej nie mógł tego zrobić, pouczony wieloletnim więzieniem we Wronkach — w obawie, by takie rozszyfrowane archiwum nie wpadło w nieprzyjazne ręce — duża część owych nosicieli pseudonimów jeszcze w Polsce żyła. Zaczął to robić dopiero pod koniec życia, gdy sytuacja w kraju zmieniła się na tyle, że nie stanowiło to zagrożenia dla ludzi. Być może była to ostrożność nadmierna, ale pamięć Wronek i wspomnienie procesu, w którym oskarżyciel przemawiał w polszczyźnie bezbłędnie podmoskiewskiej, nie nastrojały ufnie do rzeczywistości. Byłem tam, słyszałem, proces był „pokazowy”.

Do jakich konsekwencji może to prowadzić, świadczy przywołany artykuł Kormana z „Semper Fidelis”, historia przecież rzetelnej. Korman wspomina w nim „polskiego starostę konspiracyjnego w Czortkowie, noszącego pseudonim Mohort, niezwykle zasłużonego dla dokumentacji zbrodni terrorystów OUN-UPA na kresowej ludności polskiej” (s. 11). W przypisach zaś 5 i 6 — niezależnie, nie kojarząc tych rzeczy — powołuje się na „relację J. Opackiego z Gliwic”. Tymczasem chodzi o tego samego człowieka: Józefa Opackiego, pseudonim konspiracyjny „Mohort”. To skądinąd dobrze świadczy o konspiracyjności tego archiwum — jest porządnie zaszyfrowane! Ale co to znaczy dla badaczy archiwaliów? Dlatego trzeba się śpieszyć ze zbieraniem relacji. Są one potrzebne nie tylko do ujawnienia nieznanych faktów, ale i do rzetelnego rozszyfrowania zachowanych dokumentów. Wiedza o polskiej historii tamtych ziem nie powinna się składać z pseudonimów [...].

Nade wszystko jednak zgłaszam solidarność z tymi,

k którzy apelują o relacje dla Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu, dokumentujące polsko-ukraińskie dzieje tych ziem w latach czterdziestych. Póki jeszcze czas, póki jeszcze żyją już nieliczni świadkowie. Nie dopuścimy do nierozliczenia zbrodni, do puszczenia płazem bestialstwa. Ale też nie dopuścimy do pośmiertnego triumfu OUN-UPA, do tego, by zbrodnicze bandy — choćby nie wiem jak liczne — zdecydowały o całościowym obrazie Ukraińców w oczach Polaków i o perspektywie stosunków między dwoma narodami. Dziś już powszechnie nie utożsamia się hitlerowców z całym narodem niemieckim, nawet z całością tamtego pokolenia. A pamiętamy jeszcze czasy, kiedy dźwięk mowy niemieckiej budził wrogość ludności z kresów na śląskich ulicach. Nie popelniamy po raz kolejny takiego błędu. Nie dopuścimy do pośmiertnego triumfu bandytów, do zwycięstwa posiewu nienawiści, który z ich przecież rąk pochodzi.

Prof. dr hab. Ireneusz Opacki
Uniwersytet Śląski

Osoby, składające w czasie wojny urzędowe meldunki konspiracyjne dla Mohorta — Józefa Opackiego pod niżej wymienionymi pseudonimami, proszone są — o ile jeszcze żyją — o podanie imion i nazwisk oraz swoich adresów w celu nawiązania kontaktów:

WANDA, POŚWIST, KAZIMIERZ, SEWERYN, WIARUS, CZARNY, JEREMA, SZAFIR, JADWIGA, OHMA, TATAR, GABRYŚ, SEBASTIAN, IZYDOR, LAURA, ASTRA, HANIUSZEL, JASTRZĄB, BRZESZCZOT, JAKUB, TYTUS, KAROL, HELENA.

Redakcja i dr Aleksander Korman

15 I 1991 r.

Redakcja miesięcznika Semper Fidelis
Towarzystwa Miłośników Lwowa

Łaskawi: Panie i Panowie, Drodzy Lwowianie!

Od przyjaciela z Polski otrzymałem styczeniowy 1990 numer „Semper Fidelis”...

Przeczytałem go i czytam już po raz któryś przez załzawione oczy. Nie — niestety nie jestem urodzonym Lwowianinem, bowiem urodziłem się w uroczym zakątku Podola w Czortkowie (30 km do granicy rosyjskiej i 25 km na południe do rumuńskiej). Ale sercem moim należę do Lwowa i moja młodość jest z tym pięknym miastem gorąco i silnie związana.

Mój Chrzestny Ojciec pułkownik (sędzia wojskowy) Jan Duczyński był Obrońcą Lwowa. Przy każdej wizycie we Lwowie odwiedzałem Go przy ulicy Czereśniowej, gdzie z wielkim pietyzmem oglądałem album z fotografiami z Obrony Lwowa. Płk. Duczyński został rozstrzelany w Katyniu. Mój Wuj prof. Stanisław Przędziecki był profesorem w IV Gimnazjum Jana Długosza, a dwa lata przed wojną został dyrektorem 11 Gimnazjum. Żona Jego, a moja Ciocia Wanda Przędziecka, była wieloletnią radną miasta Lwowa. Syn ich, Zbigniew, zginął zamordowany w lwowskim więzieniu w 1940 r.

We Lwowie spędzałem wiele Świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, a już obowiązkowo Wszystkich Świętych. Odwiedzałem wówczas cmentarz Janowski, na którym jest pochowany mój dziadek oraz cmentarz Obrońców Lwowa. Pamiętam ten uroczysty nastrój, płonące świece, lampiony, wieńce i warty honorowe przy bohaterskich grobach. Dookoła cmentarza policja czuwała, aby ukraińscy nacjonaści nie próbowali sprofanować tego niemalże świętego wieczoru... bo i tak bywało.

W czasie niemieckiej okupacji: 1941—1944, pracując w warsztatach kolejowych i znając nieźle język niemiecki, jeździłem bardzo często do Lwowa po części do parowozów i po inny sprzęt. Przy tej okazji przywoziłem ze Lwowa do nas na wschód informacje polityczne, wojskowe (AK), a także fałszowane dokumenty dla ukrywających się osób.

Tak jest: Sercem moim należałem do Lwowa i to piękne miasto, zwane Paryżem Wschodu, żyje nadal w moim sercu bardzo daleko od NIEGO [...].

Z serdecznością moją się kreślę

Dr Jan Stanisław Dolina-Dobrucki
(urodzony w 1921 r., emerytowany inspektor służby weterynaryjnej)
4663 AURORA Rd.
RR3 STOUFFVILLE, ONT. L4A7x4
Canada

22 II 91 r.

Droga Redakcjo!

Mam 13 lat. Urodziłam się we Wrocławiu i może to jest dziwne, ale czuję się Lwowianką, chociaż nigdy nie byłam we Lwowie (ale tylko ciałem, bo duszą jestem w nim codziennie). To się nawet nie da opisać, jak bardzo kocham Lwów, tak samo jak mój dziadek i babcia, którzy są Lwowiakami.

Jestem czytelnikiem czasopisma „Semper Fidelis” i muszę przyznać, że podnosi mnie ono bardzo na duchu. Moim zdaniem to świetne czasopismo, zresztą moje ulubione.

Czasami tęsknię za Lwowem i wtedy piszę wiersze które dyktuje mi serce. Przesyłam Wam jeden z nich.

Serdecznie pozdrawiam całą redakcję i wszystkich Lwowiaków.

Pieśń Lwowiaka

A tam w Parku Stryjskim
liści upadali,
słońcy jesienny świecił,
ludzi si uśmiechali...

Kiedy nadejdi ta chwila,
ży mesztami swymi
stany wreszci na lwoski
ukuchany ziemi,
i kiedy lwoski wiatyr
ruzgarni włosy moji
i puczuj ży jezdy
już wy Lwowi swoim?

„Durnuwaty Pumidur”
(imię i nazwisko do wiadomości Redakcji)

Władysław Bohr
44-100 Gliwice
ul. PKWN 18 m. 11

W październiku ubiegłego roku przebywałem parę dni we Lwowie. Ze Lwowa wyjechałem (a raczej należy powiedzieć „zostałem wyjechany”) w 1944 r., gdy po akcji „Burza” jako oficer 14 p. ułanów AK zostałem aresztowany przez organa Kontrrazwiedki 1 Frontu Ukraińskiego i wywieziony do obozu w ZSRR.

Chodziłem po znanych ulicach, a wraz ze mną szły wspomnienia minionego czasu. Bez troskie lata studenckie, wrzesień 1939 r., gdy przez Hołosko jako podchorąży wraz z grupą generała Sosnkowskiego przebijałem się do Lwowa, lata okupacji i ten niezapomniany „biało-czerwony” lipiec 1944 r., gdy jako żołnierz ZWZ-AK walczyłem do końca o wyzwolenie miasta.

I te wspomnienia w konfrontacji z otaczającą mnie rzeczywistością budziły mieszane uczucia.

Gdy po powrocie myślałem o tej podróży, zrodził się smutny wierszyk:

Było takie miasto
gdzie się rodziły najpiękniejsze dziewczęta
jak kolorowe kwiaty
gdzie każda ulica
była radosna i uśmiechnięta
gdzie wiosna stroiła parki
taką soczystą zielenią,
gdzie jesienią drzewa
przybierały takie bogate szaty
gdzie tak pięknie na biało
wieże kościołów malowała zima.
Takie miasto było
i choć na pozór nic się nie zmieniło
pozostały te same ulice, budynki i parki
lecz tamtego miasta już nie ma.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Prof. dr Zbigniew Siciński
Lwów 16 XI 1910—Wrocław 3 II 1991

Zbigniew Siciński urodził się we Lwowie, w dzielnicy Zniesienie. Po ukończeniu I Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego we Lwowie podjął studia na Wydziale Mechanicznym, Oddział Elektryczny Politechniki Lwowskiej. W kwietniu 1936 r. uzyskał dyplom inżyniera elektryka, a w dwa lata później założył rodzinę, poślubiając Ewę z Niewiadomskich.

W latach 1937—1939 przebywa poza Lwowem, pracując w fabryce kondensatorów i oporów inż. A. Harkiewicza w Warszawie. Po wybuchu wojny ewakuowany wraz z całą fabryką do Tarnopola. Nie zdążył tam zgłosić się do wojska polskiego, gdyż miasto zajęli Sowieci. Po powrocie do Lwowa pracuje na Politechnice Lwowskiej na Wydziale Mechanicznym jako asystent prof. dr. W. Krukowskiego aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

Po otwarciu granicy z Generalną Gubernią wyjeżdża do Warszawy i do wybuchu Powstania kontynuuje pracę w formie inż. A. Harkiewicza, a następnie przez kilka miesięcy pracuje w podwarszawskich lasach jako drwal.

Po zakończeniu wojny w latach 1945—1948 pracuje w fabryce kondensatorów, najpierw w Kaliszu, a później w Łodzi. W 1948 r. przyjeżdża z rodziną do Wrocławia. Tu podejmuje pracę w Instytucie Elektrotechniki na Oddziale Materiałoznawstwa Elektrycznego, gdzie pracuje nieprzerwanie do przejścia na emeryturę w 1971 r. W latach 1951—1967 prowadzi zajęcia dydaktyczne na Po-

litechnice Wrocławskiej, kształcąc wielu inżynierów i promując doktoraty z zakresu swojej specjalności.

Przejście na emeryturę to zarazem rozpoczęcie intensywnej pracy Profesora na innym polu. Gromadzi materiały i dokumenty związane z historią Lwowa, a zwłaszcza ukochanej Politechniki Lwowskiej. Pisze szereg artykułów związanych z tą problematyką. Jest jednym z inicjatorów opracowania monografii poświęconej historii Politechniki Lwowskiej. Pracą tą, oprócz organizacji sesji naukowej związanej z rocznicą 50-lecia mordu profesorów lwowskich w lipcu 1941 r., zajmował się do ostatnich godzin życia.

Aktywnie organizował kolejne Tygodnie Kultury Lwowskiej w kościele Św. Karola Boromeusza we Wrocławiu, będąc jednym z prelegentów. W październiku 1987 r. inicjuje akcję pisania listu do konsula PRL we Lwowie w obronie dewastowanego cmentarza Obrańców Lwowa.

W latach stanu wojennego służył radą i pomocą działaczom podziemnej Solidarności, której był członkiem od momentu jej powstania aż do śmierci.

Odszedł z grona członków Towarzystwa Miłośników Lwowa człowiek skromny, bez reszty oddany sprawom polskim na Wschodzie.

Całe życie był wierny przyrzeczeniu harcerskiemu, które złożył w 1924 r. na dziedzińcu Arsenału Miejskiego we Lwowie: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu”. Te słowa przypominał swoim dzieciom i wnukom.

Cześć jego pamięci.

Z życia oddziałów

Szkoła im. Orłąt Lwowskich w Rzeszowie

Nie ma wspólnoty ducha w narodzie, który nie otacza się czcą swoich bohaterów. Dokonując wyboru bohaterstwa, które służyć będzie jako wzorzec wychowania młodzieży, samorząd mieszkańców osiedla Staroniwa w Rzeszowie podjął starania o nadanie Szkole Podstawowej nr 14 imienia Orłąt Lwowskich.

Inicjator tej nazwy, a także fundator tablicy — członek Towarzystwa Miłośników Lwowa, gorący patriota p. Jerzy Mac — z wielkim zapałem i uporem, przy współdziałaniu samorządu osiedla, przychylności grona pedagogicznego, rodziców i młodzieży doprowadził do realizacji tej pięknej idei.

21 XI 1990 r. odbyła się uroczystość nadania Szkole Podstawowej nr 14 w Rzeszowie imienia Orłąt Lwowskich.

Po Mszy Św. w kościele Narodzenia Matki Bożej, na której celebrujący kapłan wygłosił patriotyczną homilię, przypominając heroiczny czyn Orłąt Lwowskich, przed szkołą zgromadzoną młodzież i zaproszonych gości powitała jej dyrektorka mgr Maria Balawejder. Przedstawiła ona historię obrony Lwowa, udział w niej Orłąt, wyrażając jednocześnie radość z możliwości kształtowania postaw młodzieży na wspaniałych tradycjach patriotyzmu i bohaterstwa dzieci lwowskich.

Okolicznościowe przemówienie wygłosił senator Bolesław Fleszar. Następnie wspólnie z przedstawicielem Rady Osiedla drem Tadeuszem Dziochem i kuratorem oświaty i wychowania mgrem Janem Staniszem dokonał odsłonięcia tablicy.

Młodzież szkoły pod kierunkiem pedagogów przygotowała inscenizację słowno-muzyczną na kanwie wydarzeń listopada 1918 r. we Lwowie, a następnie wykonała



piosenki lwowskie z układami tanecznymi. Program artystyczny bardzo autentyczny, ze znajomością gwary lwowskiej, dał widzom wiele radości i wzruszeń.

W uroczystości brał udział otoczony wielkim szacunkiem młodzieży i zebranych p. Józef Niżankowski — obrońca Lwowa z 1918 r. (wówczas 16-letni ochotnik).

W przygotowaniu uroczystości i jej oprawy aktywny udział mieli: p.p. Zbigniew Fidler — projektant tablicy, Lesław Granat — twórca wystawy i grafik, Leszek Szczepański — przedstawiciel OKP, całe grono pedagogiczne, rodzice, sponsorzy oraz jednostka wojskowa, której orkiestra uczestniczyła w programie.

Bolesław Opalek

I Ogólnopolski Zjazd Złoczowian

W dniach 1—2 czerwca br. odbył się w Krakowie I Ogólnopolski Zjazd Złoczowian. Przygotowany niezwykle starannie przez prezesa Klubu Złoczowian przy Oddziale Krakowskim TML, pana inż. Stanisława Maćkówkę, zgromadził przeszło 200 uczestników (w tym dwoje dotarło z Londynu), a obrady odbywały się w historycznej auli Polskiej Akademii Umiejętności przy ul. Sławkowskiej 17.

Cele zjazdu były dwojakie i chyba równorzędne. Pierwsza część zaspokajała potrzeby umysłu, druga — potrzeby serca. Zjazd rozpoczęła sesja referatowa, w której zechcieli wziąć udział: prof. dr Jerzy L. Wyrozumski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. dr Leszek Antonowicz z Uniwersytetu im. M. Curie Skłodowskiej w Lublinie i dr Henryk Kotarski z krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wiedza podana w syntetycznych erudycyjnych wystąpieniach dotyczyła historii kresów południowo-wschodnich Polski. Prof. dr J. Wyrozumski przedstawił referat pt. *Włączenie Rusi do Polski przez Kazimierza Wielkiego*, dr Henryk Kotarski przedstawił dzieje Złoczowa w okresie staropolskim, prof. dr L. Antonowicz zapoznał słuchaczy z historią granicy polsko-radzieckiej w świetle prawa międzynarodowego. Problematyka sesyjna miała swoje uzupełnienia w postaci wystawy dokumentów i publikacji dotyczących Złoczowa, a pochodzących z prywatnych zbiorów.

Część druga, realizująca potrzeby serca, była spotkaniem po wielu, wielu latach koleżanek i kolegów ze szkół i gimnazjów złoczowskich, z organizacji złoczowskiej AK lub ich dzieci. Prezentując własne, nieraz tragiczne wschodnie losy (oklaskiwaliśmy wypowiedzi byłych więźniów łagrów sowieckich i żołnierzy spod Monte Casino, np. p. dr Golicz), przypominając się sobie nawzajem, szukając śladów zaginionych i zamordowanych ojców, rysując plastycznie atmosferę, ulice i zaułki zawsze drogiego miasta — wszyscy obecni odczuwali nie tylko naturalne w tym wypadku wzruszenie. To spotkanie koleżeńskie było niezwykle serdeczne, ciepłe, prawdziwie kresowe, z tym specyficznym urokiem i humorem, który zdołaliśmy jednak w sobie zachować.

Do następnego roku drodzy Złoczowianie, takie zjazdy musimy organizować.

FUNDACJA KRESOWA „SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą — kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszącej się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest przy dodatkowym wsparciu finansowym do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi z podstawy opodatkowania zysku odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

**Nasze konto: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9
PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.**

LISTA OFIARODAWCÓW
NA FUNDACJĘ KRESOWĄ „SEMPER FIDELIS”

1. Adam Andrzejak (Kraków)	300 000	45. Ignacy Seniuk (Bystrzyca)	20 000
2. Katarzyna Czajkowska (Krosno)	25 000	46. Anna Wigierska (Wrocław)	20 000
3. Bank Handlowo-Kredytowy SA Katowice Oddz. Wrocław	3 000 000	47. TML Bolesławiec	200 000
4. Tadeusz Kościów (Kościan)	50 000	48. Józef Dymus (Gdańsk)	50 000
5. Józef Mercik (Krosno)	40 000	49. Witold Szczepaniec (Szczecin)	150 000
6. TML Stalowa Wola	154 000	50. Zygmunt Krysiński (Rzeszów)	20 000
7. Jarosław Leszczyński (Kielce-Barwinek)	20 000	51. Zofia Frankowska (Ustrzyki Dolne)	30 000
8. Antoni Turczyniak (Goleszów)	200 000	52. Jerzy Stokłosa (Ostrowiec Świętokrzyski)	20 000
9. Jan Rydz (Rzeszów)	20 000	53. Zofia Brzezińska (Bytom)	50 000
10. Antonina Jakubowicz (Bytom)	10 000	54. Ewa Chylewska (Zürich, Szwajcaria)	500 000
11. Elżbieta Ostrowska (Opole)	100 000	55. Sprzedaż cegiełek na Fundację „SEMPER FIDELIS” (organizatorka akcji Danuta Tabińska-Juhasz)	6 440 000
12. Oficyna Wydawnicza „Żywe Słowo” (Wrocław)	50 000	56. Tadeusz Pfeiffer (Sandomierz)	250 000
13. Krystyna Heinrich (Bytom)	20 000	57. Zbigniew Lechowski (Wschowa)	10 000
14. Janina Tokarz (Bytom)	10 000	58. Wiesław Manterys (Bielsko-Biała)	100 000
15. Józefa Guzek (Bytom)	100 000	59. Spółdzielnia Pracy „Polmot” (Wrocław)	5 000 000
16. Alma Heczkowa (Bytom)	50 000	60. TML Tarnobrzeg	181 000
17. Halina Papierzańska (Bytom)	30 000	61. Jan Akielaszek (Wrocław)	100 000
18. Jacek Wilamowski (Nasielsk)	200 000	62. Wiktor Dziulikowski (Wrocław)	100 000
19. Zbigniew Kubas (Brzozów)	100 000	63. Wiesława Jeleńska-Hombek (Wrocław)	100 000
20. Anna Fabiańska (Kraków)	20 000	64. Eulalia Kałużna (Wrocław)	100 000
21. Stanisław Krzeszowski (Poznań)	40 000	65. Andrzej Kaminski (Wrocław)	100 000
22. Andrzej Ogrodnik (Rybnik-Kamień)	100 000	66. Aleksander Korman (Wrocław)	100 000
23. Eugeniusz Kościelny (Legnica)	100 000	67. Danuta Nespiak (Wrocław)	100 000
24. Władysław Bohr (Gliwice)	20 000	68. Zdzisław Ojrzyński (Wrocław)	100 000
25. PZH Universal Warszawa	500 000	69. Henryk Staniuk (Wrocław)	100 000
26. Maria Januszewska (Gliwice)	30 000	70. Jan Szatsznejder (Wrocław)	100 000
27. Tadeusz Kukiz (Niemodlin)	300 000	71. Jan Ziembicki (Wrocław)	100 000
28. Ludwik Klonowski (Jasło)	200 000	72. Andrzej Janusz (Wrocław)	100 000
29. Józef Bieńko (Kurzyzna)	50 000	73. Czesław Zawiski (Wrocław)	100 000
30. Maria Kochanowska (Warszawa)	50 000	74. TML Koszalin	100 000
31. Ryszard Harajda (Zielona Góra)	100 000	75. Nieznana Pani na ręce ks. Infułata Wacława Szetelnickiego	500 000
32. Zofia Bielawska (Cibórz)	50 000		
33. Stanisław Pępkowski (Toruń)	30 000		
34. Anna i Julian Kowalińscy (Bytom)	100 000		
35. Władysław Andruszczyk (Bolesławiec)	50 000	1. Czesława Bereźnicka (New York)	50 dol.
36. Estrada Bydgoska (organizatorki: Danuta Kotowicz i Jadwiga Kaluscha)	15 000 000	2. Koło Lwowian (Los Angeles)	50 dol.
37. Zbigniew Lechowski (Wschowa)	10 000	3. Zdzisław Pręgowski (Szwajcaria)	200 dol.
38. Artur Hutnikiewicz (Toruń)	1 000 000	4. George J. Lerski (San Francisco)	25 dol.
39. Tadeusz Świątnicki (Przemyśl)	10 000	5. Jean Korwin (Nancy)	200 dol.
40. Zofia Bielawska (Wrocław)	93 500	6. Koło Lwowian (Chicago)	100 dol.
41. Bożena Simachowicz (Poznań)	100 000	7. Polish Army Veteran Post 2	50 dol.
42. Maria Piwko (Sandomierz)	100 000	8. Stanisław Słomiany (Chicago)	50 dol.
43. Janina Katnerowa (Łódź)	30 000	9. Rudolf i Wacława Veit (Chicago)	30 dol.
44. Ryszard Saturn-Błażewicz (Gorzów)	100 000	10. Helena Plozy (Chicago)	30 dol.

11. Albert i Irena Letza (Chicago)	30 dol.
12. Maryla i Stanisław Kowalski (Chicago)	20 dol.
13. Sabina Wolańska (Chicago)	25 dol.
14. S.P.K. 31 (Chicago)	25 dol.
15. Waclaw Szatan (Chicago)	25 dol.
16. Marian Grabowski (Chicago)	20 dol.
17. Władysław Baczański (Chicago)	10 dol.
18. Maria Komornicka (Chicago)	50 dol.
19. Jan S. Dolina-Dobrucki (Kanada)	200 dol.
20. Roman Makarewicz (New York)	25 dol.
21. Zdzisław Jagodziński (Londyn)	20 funtów
22. K. Dubrawski (Londyn)	20 funtów

Serdeczne staropolskie „Bóg zapłać” wszystkim Dobrodziejom za wsparcie naszej idei i umożliwienie nam utrwalania pamięci o Małopolsce Wschodniej na łamach „SEMPER FIDELIS”.

Będziemy wdzięczni za dalsze płynące z serca dary.

Jeżeli ktoś z Sz. Państwa został na tej liście pominięty — bardzo prosimy o informację (Wykaz otrzymaliśmy z ZG TML we Wrocławiu).

Przypominamy nr naszego konta: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9, PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132. Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS”.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus Kochani Rodacy w Kraju!

Z woli Bożej przyszło nam żyć poza Krajem. Mimo iż dzielą nas kordony, łączy nas tysiącletnia historia i wspólne korzenie kultury. Jesteśmy mieszkańcami Drohobycza, woj. lwowskie na Ukrainie. Należymy do rzymskokatolickiej parafii Św. Bartłomieja. W tomie IV Encyklopedii Katolickiej KUL-u na str. 225 znajduje się opis naszego kościoła, ufundowanego przez króla Władysława Jagiełłę w 1392 roku.

Wnętrze gotyckiej świątyni zdobiły freski, witraże wykonane przez Jana Matejkę, Stanisława Wyspiańskiego i Józefa Mehhofera, liczne obrazy, barokowe rzeźby i ołtarze, organy, znajdowała się tutaj też bogata biblioteka. I wszystko to przepadło! Po przymusowym zamknięciu świątyni w 1949 r. zostały rozkradzione i zniszczone. Jak nasz naród, tak i nasza świątynia przeżyła kolejne straszne losy. Mieściły się w niej przeróżne magazyny, stała otworem dla łupieżców i bezbożników, a ostatnimi laty zamieniona została na muzeum ateizmu. W czasach odwilży, za prezydenta Gorbaczowa, rozpoczęliśmy starania o odzyskanie kościoła. Po prawie dwóch latach obijania progów w Moskwie, Lwowie i Drohobyczu 13 grudnia 1989 roku odzyskaliśmy naszą biedną i zniszczoną świątynię. Jest ona pomnikiem naszej wierności Bogu i wiary ojców.

Nasza XIV-wieczna świątynia wymaga restauracji. Natychmiastowej restauracji wymagają zachowane freski, renesansowy nagrobek dłuta Sebastiana Czeszka z 1572 r., wysoko oceniony przez znakomitego historyka sztuki profesora Mieczysława Gębarowicza, marmurowy portal z XV wieku — pierwszy pomnik zwycięstwa polskiego oręża pod Grunwaldem. Pragniemy również odtworzyć

zniszczone witraże, barokowe ołtarze i organy. W 1992 r. będziemy obchodzić 600-lecie naszej świątyni.

Choć jest nas niewiele, robimy, co możemy. Nasza parafia, oprócz Drohobycza, obejmuje miasto Borysław, Truskawiec, Stebnik i okoliczne wioski, w których nie-licznie mieszkają rzymskokatolicy.

Pisał kiedyś Feliks Gątkiewicz: „Łaskawsze oko zwróć teraz przechodniu na świątynię. W rumowisko się sypie. Gdyś obojętnym cudzoziemcem, zdziwisz się, widząc taką ruinę, a cóż gdyś Polakiem, żal nie chwyci cię za serce? Nie wstyd to pomyśleć, że przybytek Pański, ozdoba narodu, świadek przeszłej potęgi w takim poniżeniu!”.

Brak jest u nas odpowiednich fachowców i co tu tać — również środków finansowych. Kochani Bracia Rodacy! Nie prosimy niczego dla siebie, ale o pomoc dla katolickiej świątyni, zabytku historycznego. Nie zważając na przychylność i pomoc władz miejskich, brak jest u nas odpowiednich do restauracji materiałów i fachowców. W związku z tą sytuacją założone zostało przy klasztorze oo. Redemptorystów w Polsce konto pieniężne; o. Ryszard Kowalczyk, ul. Wysoka nr 1, 33-170 Tuchów (z dopisem: na restaurację kościoła w Drohobyczu). Za złożone ofiary będziemy mogli opłacić restauratorów i fachowców z Polski, może także odtworzyć witraże albo kupić organy.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni za braterską pomoc.

Prezes Rady Parafialnej
Czesław Bulkiewicz



W NUMERZE!

Tadeusz Riedl, O martyrologii i eksterminacji lwowskich pracowników nauki (1939—1945)

Andrzej Chlipalski, Trzy wcielenia zapomnianego lwowskiego kościoła

Grzegorz Pełczyński, Ormianie w międzywojennym Lwowie

Stanisław Sławomir Nicieja, Lekarz „polskiego Londynu”

Jakób Jaworski, Kilka pytań do p. posła Mokrego

Ks. Lesław Jeżowski, W Tłumaczu — po 50 latach